№ 50. Warszawa, dnia 13 (1) Grudnia 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Zielna Nr. 7-a.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Chcąc zapobiedz wyczerpaniu się pierwszych zeszytów dodatku, prosimy szan. abonentów o wczesne nadsyłanie przedpłaty na rok przyszły, ażebyśmy mogli obliczyć i przygotować potrzebną ilość egzemplarzy.

On powiedział...

Chociaż duchowieństwo katolickie w wielu państwach europejskich — we Włoszech, Francyi, Rosyi — poddano ograniczeniom, nigdzie ono wszakże nie jest tak skrępowane, a nawet krzywdzone, jak w Niemczech. Czytelnikom *Prawdy* wiadomo, jak daleko w przeciwnym kierunku odsunęła się ona od uroszczeń kleru, ale przyznawaliśmy to zawsze i przyznajemy ciągle, że t. zw. „walka kulturalna" w Niemczech ani cywilizacyi, ani prowadzącemu ją rządowi zaszczytu nie przynosi. Gwałt pozostanie zawsze gwałtem, bez względu na to, jakie wybiera sobie ofiary, a z żadnego stanowiska uczciwego chwalonym być nie może.

Między innymi przepisami „ustaw majowych" znajduje się jeden, szczególnie drakoński, zabraniający księżom wykonywania obrządków religijnych bez pozwolenia władzy świeckiej, oraz dozwalający jej wydalać nieposłusznych (*Expatriirungsgesetz*). Przeciwko temu prawu wystąpił za dawnej sesyi Windhorst z odpowiednim wnioskiem, przyjętym przez sejm znaczną większością, z której nie wyłączyli się nawet dawni twórcy surowego edyktu—konserwatyści. Ale ks. Bismark ma na najliczniejsze większości hamulec w Radzie związkowej, która też wniosek Windhorsta odrzuciła. Nieugięty jednak przywódca katolików postawił go natychmiast w parlamencie obecnym, który również (z ubytkiem konserwatystów) dawną swoją uchwałę na przekór Radzie zatwierdził.

Ponieważ przedstawiciele narodu tak wyraźnie w jego imieniu zażądali zniesienia krzywdzącej ustawy, ponieważ ks. Bismark oświadczył, że ona spoczywa bezczynnie, gdyż od 6 lat stosowaną nie była, a on nic niema przeciwko temu, ażeby była zniesioną, więc dla czegoż nie chce usunąć zardzewiałej, sromotnej i bezużytecznej gilotyny? Bo ona może być jeszcze potrzebną. Na kogo? Tu kanclerz w mgłach przyszłości ukazał przestępcę, przeciw któremu owa maszyna „na wszelki przypadek" zachowaną być musi. Domyślacie się zapewne, kto jest tą złowrogą postacią—„czarnym charakterem" polityki, albo, jak słuszniej mówią niemcy — „dyabłem wymalowanym na ścianie."

„Ruch polski — rzekł Bismark — groził nam (!!!) oderwaniem staropruskich prowincyj, które wprzód były niemieckiemi, zanim stały się polskiemi. Nie jest on tak bardzo niebezpiecznym, gdy pokój naokoło zapewniony. Skoro wszakże położenie się zmieni — w co nie wierzę, dopóki rząd obecny znajduje się u steru, ale on także śmiertelny, a polityka musi patrzeć w dalsze okresy czasu — mogą przyjść chwile, kiedy ruch polsko-narodowy stanie się dla państwa pruskiego bardzo niewygodnym. Jeśli panowie sięgniecie myślą o 20 lat wstecz, do czasu, kiedy między Rosyą a Prusami stanął traktat, zwany „wężem morskim," przypomnicie sobie, że wtedy ów ruch był bardzo silny i tu w Berlinie popierany przez żywe—powiedziałbym prawie — groźne wstawiennictwo kilku mocarstw. Mając wtedy przeciw sobie prawie całą Europę, która pod postacią niemal codziennie odwiedzających mnie posłów groziła nam, nie podołalibyśmy wojnie, a gdyby do niej przyszło — pragnął tego rząd rosyjski — miałaby wielką wagę okoliczność, czy rząd pruski w swych krajach polskich byłby zupełnym panem i to panem nawet wtedy, gdyby nie pozostawał w przymierzu z Austryą itd."

Ułóżmy to wspomnienie w wywód logiczny: ponieważ przed *dwudziestu* laty był jakiś ruch *narodowy*, który okazał się bezsilnym, więc dziś trzeba mieć na wszelki wypadek prawo do wyganiania... *księży*. Chyba niema na świecie człowieka, przyzwyczajonego do elementarnych wnioskowań, któryby obronił prawidłowość tego dziwnego sylogizmu. Bo gdzie tu Rzym, gdzie Krym, gdzie karczmy babińskie! Jaki związek może mieć „prąd rewolucyjny" ze spowiadaniem i udzielaniem sakramentów za pozwoleniem władzy? Bez trudu też poseł Windhorst wywrócił kilkoma słowami całe to sztuczne rozumowanie. „Czy posiadacie jakikolwiek dowód— rzekł on — że polacy (prusscy) nie spełnili swych obowiązków poddańczych? Właśnie dlatego nie możecie ich uspokoić i ciągle będziecie pobudzać do buntu." „Polski chłop i robotnik — odparł ks. Bismark— nie są niebezpieczni, ale szlachta, inteligencya, popierana przez duchowieństwo!.."

I to mówi człowiek, który niedawno wyrzekł: „mnie nie imponuje cała Europa, a wy!.." Czemuż tej dumy nie ukazuje wobec drobnej, bezsilnej, jedynie ciężkim oddechem przy pracy zdradzającej swoje życie garstki poznańskiej? On tę dumę czuje, gdy posłyszy o jakimś gniewie *Kuryera* lub *Dziennika* z nad Warty, powtarza sobie niezawodnie: „ja nie boję się całej Europy, a wy mnie przerazić chcecie!" — ale ów buntownik przyszłości, ów „dyabeł na ścianie" jest kanclerzowi potrzebny, jeżeli nie do pokonania sejmu, to do upozorowania swej polityki względem Watykanu. Wyrzuca słowa, budzi obawy i podejrzenia, w których słuszność nie wierzy, z których całą duszą się śmieje —

bo zna skuteczność milionowej armii — ale te słowa, obawy i podejrzenia są mu potrzebne dla zwrócenia umysłów w pożądaną stronę. Gdyby kto inny polakami straszył państwo niemieckie, najpotężniejsze państwo na świecie, rozśmiano by się z tego alarmu; ale z ust ks. Bismarka najdziwaczniejsze wywody wychodzą z powagą człowieka, w którego mądrość i geniusz świat cały wierzy. Jemu nietylko wolno być nielogicznym, ale nielogicznością przekonywać. On powiedział — to dosyć dla bałwochwalców, a takich jest więcej, niż partye konserwatywne członków liczą. On powiedział, że polacy w Poznańskiem myślą o buncie, więc będą uważani za buntowników, chociażby myśleli jedynie o tem, jak jutra dożyć.

JASEŁKA SŁOWIAŃSKIE.

Od lat kilku weszło u nas w zwyczaj, że rok rocznie urządzamy jakiś jubileusz. Nikogo więc zadziwić to nie może, że w braku własnych wspomnień korzystamy z pierwszej lepszej sposobności, jaką w danym razie jest obchód tysiącletniej rocznicy śmierci św. Metodego i spieszymy do Welehradu, o którym nasi nowochrzeńcy słowianofilstwa dotąd zapewne nie słyszeli. Jeżeli dodamy, że obchód ten otrzymał błogosławieństwo papieskie, to niepodobna wątpić, iż udział polaków będzie szczery i liczny, jak zresztą we wszystkich ceremoniach przez Rzym urządzanych.

Kiedy przed czterdziestu laty W. A. Maciejowski nieśmiało wygłosił przypuszczenie, że polacy przyjęli pierwotnie chrześciaństwo według obrządku słowiańskiego, został za to odsądzony od czci i wiary. Skądże dziś taka zmiana w uczuciach i przekonaniach, zmiana, której okoliczności bieżące bynajmniej usprawiedliwić nie mogą? Klucz do tej zagadki spoczywa w Watykanie. Gnębione, ubogie ludy słowiańskie nie zwracały na siebie uwagi Kuryi rzymskiej, ale kiedy zaświtała dla nich doba odrodzenia, kiedy stanęły na własnych nogach i okazały stałą dążność do duchowego i materyalnego rozwoju, Kościół przypomniał sobie zaniedbane owieczki, takie ciche i potulne, a tak obrosłe już bujną wełną. Wetując straty, poniesione na Zachodzie, Leon XIII zwrócił oczy na Wschód i w ostatnich latach propaganda robi tam znaczne postępy. Misyę nawrócenia podjąć mają zachodni, katoliccy słowianie. Do nich to, parafrazując słowa jednego ze swych poprzedników: *per vos Orientem spero esse convertendum*, zwraca się papież z błogosławieństwem i zachętą. Dla zjednania ich postawieni w ostatnim szeregu świętych apostołowie słowiańscy Cyryl i Metody wysuwają się na pierwszy plan; z odnowionej legendy wykreśla się wiadomość o prześladowaniach i więzieniu obu braci, a na jej miejsce wpisują się dowody ich zażyłości z Rzymem. Kardynałowie włosi, którzy o „północnych barbarzyńcach“ zaledwie słyszeli, współzawodniczą w słowiańskim patryotyzmie z p. Aksakowem, w odpowiednim czasie odnajduje się miejsce, na którem pochowano Cyryla, ultramontańskie pozytywki wygrywają słowiańskie hymny a w takt tej melodyi nanizane na sznurku jezuickiej polityki maryonetki słowiańskie skaczą „jak pan każe.“

Ludzie dobrej wiary, ale krótkiego wzroku przykładają chętną rękę do tej farsy, sądząc, że działają w danym razie w imię wzajemności słowiańskiej. Nie jest to wszakże zupełna wzajemność, ale wyodrębnienie zachodniej słowiańszczyzny. Wyodrębnienie to ma swoją racyę bytu, i jedną z cech jego jest bezwątpienia katolicyzm, ale jedynie jako czynnik cywilizacyjny, nie zaś polityczny. Braterstwo słowian zachodnich opiera się nie tyle na węzłach wspólnego pochodzenia, których lud nie czuje, nie na wspólnych tradycyach, których niema, ale na tożsamości interesów politycznych. Zwłaszcza w obrębie państwa austryackiego upośledzono ludy słowiańskie łączą się w imię jednakich praw do walki z tym samym wrogiem, pokrewieństwo plemienne wpływać może co najwięcej na serdeczniejsze zbliżenie się sojuszników. Ta zresztą odporna działalność przeciw germanizmowi łączy w jedną w gromadę wszystkich słowian, bo niebezpieczeństwo grozi im wszystkim, chociaż nie w tym samym stopniu. Po za tem wszelka wzajemność jest sztuczną, sfabrykowaną na prędce dla innych celów, albo też ogranicza się tylko do związków niektórych odłamów Słowiańszczyzny i to znowu w imię wspólnych interesów, ale nie wspólnego pochodzenia.

Tak pojęta wzajemność słowiańska posiada realną siłę, jest sprawą żywotną, ale dla uzasadnienia swego nie potrzebuje zapuszczać się w obszary zamglonych wspomnień, wykrętnie przeinaczać faktów historycznych, szperać w starych grobach i w starych szpargałach, żeby doszukać się wątku wymarzonego braterstwa. Ilekroć zaś schodzi z tego gruntu, ilekroć występuje jako idea wszechsłowiańska uciekać się musi do sztucznego aparatu wymarzonych tradycyj, stroić się w liczmany górnolotnych frazesów, budować gmach swój na piasku, albo na romantycznych pomysłach poetów.

Tradycya nawet istotna nie może łączyć w jedno ludzi, jeżeli rzeczywistość będzie ich rozdzielać; a cóż dopiero tradycya umyślnie dla pewnego celu przygotowana! Jakie np. znaczenie dla nas polaków mają apostolskie prace Cyryla i Metodego wśród morawian i bulgarów. Nazywają ich twórcami słowiańskiej kultury, ponieważ wynaleźli alfabet i przetłomaczyli Pismo święte. Bezwątpienia, zasługa to ogromna. ale my polacy ani z alfabetu tego, ani z przekładu nie korzystaliśmy zgoła. Nie wiele więcej skorzystali zeń wogóle wszyscy zachodni słowianie. Pismo cyrylickie przyjęli tylko słowianie wschodniego obrządku, jak również księgi święte w języku starosłowiańskim. Wpływ ich na kulturę zachodnich plemion był bardzo nieznaczny, żeby nie powiedzieć — żaden. Obchód więc niema nawet historycznej racyi, jeżeli zaś posiada polityczną, to nie taką, o jakiej wspomnieliśmy na wstępie. Jest to *ad majorem Romae gloriam* i wyłącznie na jej benefis urządzone przedstawienie, w którem my chętnie spieszymy przyjąć rolę komparsów, jest to demonstracya klerykalna, urządzona pod przykrywką słowiańskich celów.

Taki charakter uroczystości, rozumie się, wywołać musiał przeciwdziałanie. Dlatego prawdopodobnie, że obchód nosić będzie charakter ściśle katolicki, słowianofile rosyjscy nie otrzymali nań zaproszenia. Ale z drugiej strony będzie to święto słowiańskie, pojąć tedy łatwo, że przedstawiciele najpotężniejszego słowiańskiego narodu uczuli się obrażonymi. Zaczęła się więc wzajemna wymiana pocisków. Pierwsze strzały z przeciwnego obozu padły na posiedzeniu słowiańskiego Towarzystwa dobroczynności, przyczem najgorecej walczyli p. v. Sabler i Miller. Do praktycznych wszakże rezultatów tym razem nie przyszło. Dopiero *War. Dniewnik* wystąpił z projektem, opracowanym szczegółowo. Wschodni słowianie urządzić mają równoległy obchód w Kijowie, który nie powinien nosić bynajmniej charakteru religijnego. Na zjazd ten zaproszeni zostaną słowianie wszystkich wyznań, nawet protestanci i mahometanie. Ma to być uro-

---

Mój przyjaciel Jacenty.

(Z opowiadań warszawiaka).

Jacenty — śmieszne imię. Nie był on wcale winien, że mu je nadano, przecież dźwigać je musiał od kolebki do grobu, jak zresztą wiele rzeczy niezasłużonych. Nie było to także jego winą, że miał wielki nos, podobny do sępiego dzioba, usta szerokie od ucha do ucha, małe, szare oczy niepewnego koloru, oraz wysoką, niezgrabną postać. Pomimo to śmiano się zarówno z jego imienia, jak twarzy i postaci, a to czyniło go bardzo nieszczęśliwym.

Miał się sam za najbrzydszego człowieka pod słońcem. Czy jednak był brzydkim rzeczywiście? Na to trudno odpowiedzieć. Ja przynajmniej nigdy nie znajdowałem go takim, bo ta chuda twarz, przypominająca dziadka do tłuczenia orzechów, wyrażała nieskończoną dobroć. Usta uśmiechały się z pod konopiastych wąsów poczciwie i dowcipnie razem, a małe oczy zdawały się czytać w myślach ludzkich, patrzały tak smutnie na cierpiących a tak wesoło na zadowolonych, iż przykuwały do siebie wzrok ludzki i narzucały sympatyę.

Niech sobie mówią o tem, co chcą, ja twierdzę, że mój przyjaciel Jacenty wcale brzydkim nie był. Nie odpowiadam za nikogo, ale co do mnie, wolałem patrzeć na niego, niż na tysiąc ludzi, których regularności rysów nikt nie podawał w wątpliwość.

Mówiłem to nieraz Jacentemu; na nieszczęście był on malarzem i miał o piękności akademickie wyobrażenie, a wszystkie moje przedstawienia odpierał.

— Ja, ja nie brzydki, ale przyjrzyj że mi się, ja nie brzydki! z takim nosem!

Ponieważ rozmowy nasze toczyły się zwykle w pracowni jego, chwytał węgiel i na pierwszem lepszem papierze lub płótnie kreślił karykaturę swego nosa. Po nosie przyszła kolej na usta, na oczy, słowem na całą twarz, którą rysował z jakąś dziką zajadłością i werwą.

Czyniąc to, śmiał się z całego serca; może jednak w jego śmiechu dźwięczała jakaś inna struna, bo często urywał go nagle i zabierał się do roboty gorączkowo. Wówczas nie lubił rozmawiać i nie zważał na tych, co znajdowali się w pracowni.

Wiedziałem o tem i w takich razach przyglądałem się szkicom, rysunkom, główkom, mniej więcej wykończonym, jakich pełno znajduje się w każdej pracowni. A trzeba przyznać, że główki z pod pędzla mego przyjaciela były prześliczne. Prawem kontrastu zapewne, lubił tylko takie odtwarzać, co jaśniały swą klasyczną pięknością, której sam nie posiadał.

Pomiędzy główkami była jedna szczególnie, którą spotykałeś na każdym prawie obrazku Jacentego. Znałem ją dobrze: miała ona tak regularne rysy, iż trudno było dopatrzeć w niej coś więcej po za harmonią linii. Obwieszały ją pukle kasztanowatych włosów, które w zupełności prawie zakrywały czoło małe i wąskie, godne starożytnej bogini. Co prawda, przyznać muszę, iż mnie, dziecku cywilizacyi dziewiętnastego stulecia, czoło to nie trafiło wcale do przekonania. Ale widocznie inaczej sądził mój przyjaciel; przytem główka owa miała szafirowe oczy wielkie, przejrzyste, które odbijały słoneczny lazur pogodnego nieba tak wiernie, iż patrząc na nie, zapominałeś chętnie o tem, że nie miały one zgoła żadnego wyrazu, a raczej nikt o niego nie pytał, tem bardziej, że drobne karminowe usteczka uśmiechały się tak

czystość nietylko religijna, ale i kulturna. Alfabet i Pismo święte to podwaliny słowiańskiej cywilizacyi. Jakiś *Haliczanin* w tem samem dzienniku proponuje rozszerzyć obręb zjazdu i wezwać nań: lapończyków, zyrianów, wotiaków, mordwinów, czeremisów, czuwaszów i wogułów, z tego powodu, że narody te przyjęły alfabet słowiański w swych księgach liturgicznych. O ile wiem, wotiacy np. nie mają wcale ksiąg liturgicznych, zyrianie zaś posiadają oddzielny alfabet, którego wynalazcą był św. Stefan permski. Ale mniejsza o to. Taki zjazd etnograficzny byłby bardzo ciekawy, tylko dlaczego wyłączać zeń aleutów, buryatów, kamczadalów itp., którzy również za pośrednictwem rosyan przyjmują chrześciaństwo — i co z tem ma za związek rocznica śmierci św. Metodego?

Ciekawszym jest drugi ustęp listu, w którym Haliczanin objaśnia, dlaczego rusini galicyjscy nie będą mogli przyjąć udziału w kijowskim obchodzie.

„Tak, w Kijowie będzie cała wschodnio-południowa słowiańszczyzna, będą i innoplemieńcy. A kogo nie będzie? Nie będziemy my wierni synowie matki sławy, wierni synowie Rusi, wierni synowie prawosławnej cerkwi w sercu i duchu.“ Dlaczego zaś na to autor daje kilka objaśnień, z których jedno zawsze wręcz sprzeciwia się drugiemu.

Najprzód więc dowiadujemy się, słowami Chomiakowa, że wiernych synów sławy i Rusi „zbałamuciły szumne uczty Polski,“ potem, że ich „spaliły dzikie stosy“ tej samej Polski, potem wreszcie, że trudno przedostać się przez granicę, potem, że księża unieccy z obawy „sobłazna“ nie mogą znajdować się w granicach państwa rosyjskiego, wreszcie, że zatrzyma ich przysięga dana papieżowi i zarazem „strach polsko-jezuickiej zemsty.“

Różnorodność tych motywów, wzajemnie się wykluczających, nie pozostawia nic do życzenia. Ona najlepiej objaśnia, dlaczego ogólno-słowiańskie dążenia nie mogą wylać się w realne kształty, dlaczego pozostają i pozostaną na długo udziałem jedynie marzycieli i poetów. Można znaleźć jedną lub dwie setki przedstawicieli plemion słowiańskich, którzy zgodnie i po bratersku zasiądą za jednym stołem, w przyzwoitej harmonii spożyją wszelakie słowiańskie potrawy, zgodnie krzyczeć będą *hura! żywio! wiwat!* i *slava!* nawet porozmawiają nie biorąc się za łby. Ale na tem koniec.

W życiu praktycznem, w sferze stosunków społecznych czesi kłócą się ze słowakami, serby z bulgarami, polacy z rusinami.

A ci rusini, w których imieniu przemawia p. Haliczanin, świętojurcy i narodowcy, czy spotkaliby się zgodnie na jednym zjeździe, czy ci ostatni nie byliby w Kijowie znowu przyczyną „sobłazna“ innego charakteru? Gdyby zjazd jakikolwiek mógł zebrać wszystkich przedstawicieli plemion słowiańskich i przedstawicieli różnych partyj w tych narodach, podniosłaby się taka burza wzajemnych oskarżeń, takie pomieszanie języków, takie rozstrzelenie krzyżujących się kierunków, taki chaos obelg, wyrzutów, potwarzy, urojonych pretensyj, skarg słusznych, że pod jego nawałem ległaby przygnieciona, zduszona wzajemność słowiańska. I te jątrzące się po dziś dzień rany, te ciosy, bratnią zadawane ręką, te krzywdy, wołające o pomstę wyleczyć ma cudownie amulet z abecadłem słowiańskiem. Cywilizacyjne znaczenie apostołów Słowiańszczyzny nie potrzebuje sztucznego wydymania. „Ne misceatur sacra profanis“ powinni powiedzieć wierzący chrześcianie inicyatorom obchodów, nie spekulujcie wspomnieniami dla swych samolubnych celów, nie siejcie waśni tam, gdzie jej niema i nie podsycajcie tej, co istnieje. Uroczystości łatwo urządzić, łatwo nadać im sztuczną wspaniałość, ani „brzęczących cymbałów“ słowiańskiej frazeologii, ani zewnętrznych przyborów nie zabraknie.

Głos nasz z pewnością przebrzmi bez echa i bynajmniej na przebieg wypadków nie wpłynie; podnosimy go jednak w imię prawdy i zdrowego rozsądku. Jesteśmy zanadto słowianami, żeby być panslawistami, mniejsza o to jakimi — wschodnimi, czy zachodnimi — i o przynależne nam miejsce i prawa ani w Kijowie ani w Welehradzie upominać się nie mamy potrzeby.

W.

Z GALICYI.

Lwów, 1 grudnia 1884.

Dwie miłości.— Z pod Wawelu. — Detronizacya prezydenta. — Cofanie fali. — Statystyka biedy. — Licytacya gruntów chłopskich.— Konfiskata. — Wybieg. — Z teatru. — Panna Wisnowska i parę słów o utracie zmysłów. — Dyabliki drukarskie.

Wierzcie, nie wierzcie — powiem wam przecież, że kocham Warszawę całem sercem. Przyznaję się do tego, nie wątpiąc, że z wyjątkiem starych dewotek, które, podobnie, jak p. Lam, „z zasady“*), stronią od *Prawdy* — wszystkie zresztą nadobne czytelniczki przyklasną tak śmiałemu wyznaniu. Bo i nie znam istoty ludzkiej *masculini*, ale naprawdę *masculini generis*, któraby na widok piękna niewieściego nie poczuła w sobie „świętych dreszczów.“ A już chyba nie zaprzeczą nawet w Piotrkowie, że choć bruk ma stolica niekoniecznie wyraźny, zwłaszcza na placu teatralnym, brak kanałów i za mało wody do picia, a wielu złodziejów — ładną jest, doprawdy ładną, ta zalotna Warszawka wasza, której imię pozwalam sobie niniejszem zdrobnić mimo wydanego niedawno (*Tyg. ilustr.*) surowego zakazu. Panie Ludomirze Szczerbowiczu-Wieczorze — wybacz! *Anchio son filologo*!...

Innem zupełnie uczuciem otaczam omszony i zmurszały Kraków. Warszawę kocham tak, jakbym uwielbiał Wandę, gdyby żyła teraz i równie, jak przed tysiącem lat, nie chciała pójść za niemca (lepiej zawsze mieć swojego) — dla Wawelu zaś z całem jego podegrodziem żywię afekt taki, z jakim chyliłbym czoło przed sędziwym i mądrym Krokiem, gdyby porozpędzał stańczyków na cztery wiatry, *Czasowi* kazał tańczyć z podkasaną rewerendą na jubileuszu Bałuckiego, a *Przeglądowi powszechnemu* przewiesił torbę przez plecy z poleceniem zbierania między hrabiami i wyższym klerem datków na podupadłych pozytywistów... *pardon!*.. „racyonalistów.“

O małom nie nastąpił na grono nieśmiertelnych w Akademii umiejętności! Spostrzegłem się w sam raz, bo właśnie wakuje tam jedno krzesło, o które wprawdzie nie ubiegam się wcale, chętnie jednakże widziałbym je zajęte przez mojego przyjaciela. Polegam na waszej wyrozumiałości... W uniwersytecie natomiast obsadzono są wszystkie katedry młodymi i przystojnymi uczonymi, a więc bez skrupułu przytoczę wam z organu profesorów krakowskich następującą, jeżeli niezbyt głęboką, to bez wątpienia oryginalną uwagę: „Kraina Homera i Virgilego nie miała dotychczas żeńskiego Kolumba.“ Mam zwyczaj, czytając mądre rzeczy, poprawiać w myśli napotkane w nich usterki. To też sprostowałem sobie natychmiast przeczytane zdanie w ten sposób, że to zapewne

*) P. Lam kiedyś w sądzie oświadczył, że pisze tam, gdzie mu (dobrze) płacą. Gdyby więc nas ta jego „zasada“ martwiła, wiedzielibyśmy, czem ją złagodzić. (*Red*).

---

powabnie, iż doprawdy niepodobna było żądać od nich czegoś więcej, nad ten bezmyślny, spokojny uśmiech — chyba pocałunku.

— Kto to ma być, Jacenty? — spytałem go kiedyś, pokazując mu tę wdzięczną a tylekroć powtórzoną główkę.

Zmieszał się z razu, a potem odparł opryskliwie:

— Kto ma być — ot zwyczajna głowa, od tego przecież jestem malarzem, żebym je tworzył.

— Przecież musiałeś mieć wzór jakiś?

— To ty myślisz, że ja tylko to namalować potrafię, co zobaczę?

I zaczął z podwojoną energią mieszać farby na palecie a ja musiałem na tem poprzestać.

Od pewnego czasu jednak zauważyłem dziwną zmianę w moim przyjacielu: często bardzo nie było go po całych dniach w pracowni, obrazki pozaczynane pokrywały się pyłem. Spotkałem go raz na ulicy; był wyświeżony, jak nigdy, a w rękach, na których ujrzałem, o dziwo! świeżutkie duńskie rękawiczki, niósł bukiet. Biegł tak szybko, iż potrącił mnie prawie, zanim poznał, poznawszy, zaczerwienił się, jak piwonia, mruknął coś niezrozumiale i biegł dalej. Widywano go tam, gdzie dotąd nie pokazywał się wcale: na spacerach, koncertach, teatrach. Słowem działo się z nim coś niezwykłego — nietrudno było mi się domyślić, że przyjaciel Jacenty dostał się pod władzę Erosa.

Jacenty zakochany — nie do uwierzenia! Dotąd zdawał się on drwić z miłości; w towarzystwach nie bywał, kobiet unikał, a nawet, kiedy mu przyszło rozmówić się z praczką, czynił to z pewnem zakłopotaniem.

Objawy to jednak, które w nim zauważyłem, były stanowczo i nie zostawiały żadnej wątpliwości pod względem stanu jego serca. Jeśli powracał nawet do zwykłych zatrudnień, był niespokojny, smutny, nieswój i unikał starannie wszelkiej wzmianki o tej niefortunnej okoliczności z bukietem. Ja też byłem dyskretnym, udawałem, że tego nie zauważyłem, nie zapamiętałem, albo też, że bukiet i duńskie rękawiczki zdawały mi się faktami naturalnymi, będącymi zupełnie w porządku rzeczy.

Przyjaciel Jacenty pracował teraz fantazyjnie. Czasem po całych dniach siedział zamknięty, a czasem znów ulatniał się od rana i nie można go było znaleść ani w restauracyi, gdzieśmy codzień jadali obiad, ani na czarnej kawie w zwykłej cukierni, ani zgoła w żadnem z miejsc, gdzieśmy się zwykli byli spotykać. W pracowni zaś zauważyłem, że owa błękitnooka, kasztanowatowłosa główka zaczęła mnożyć się w sposób zatrważający; było jej wszędzie pełno, gdzie tylko znajdował się kawałek wolnego miejsca: na szkicach, na zaczętych obrazach, na świstkach papieru nawet, wszędzie była ona, we wszystkich pozach, z profilu, w trzech częściach, wprost, uśmiechnięta i poważna, z oczyma wzniesionemi w górę, ze spuszczonemi powiekami lub też patrząca przed siebie; była to zawsze ona, ze swojem wąskiem czołem, regularnymi rysami, i drobnemi ustami.

Oprócz tego w kącie pracowni na stalugach ukazało się płótno starannie zakryte; miało ono format wielkiego portretu i byłbym przysiągł, że tam znów była ona; ale Jacenty nie znosił, żeby podglądano jego tajemnice i właśnie lubił mnie dla tego, że byłem dyskretnym. Płótno to zajęło miejsce w zagłębieniu pracowni obok innego, które stało tam od bardzo dawna, równie starannie obwieszone zieloną draperyą, a do którego także nie zaglądałem nigdy.

Homera zabrakło krainie Virgilego i Kolumba. Daremna praca! Z dalszego ciągu opowiadania dowiaduję się, że jedna z moich koleżanek we Włoszech otrzymała stopień doktora filologii, co zaś ma wspólnego Homer z Italią, a Kolumb z językoznawstwem — organ akademicki nie wyjaśnia wcale. A szkoda! Bylibyśmy się dowiedzieli w każdym razie nowych rzeczy...

Gdyby nie brak miejsca, mógłbym was obdarzyć całą równianką podobnych kwiatów, zebranych na niwie prawomyślnej erudycyi. Muszę jednak wspomnieć jeszcze i o innych osobliwościach starożytnego grodu Krakusa. Zaliczam do nich teatr, sławetną radę miejską i ciekawy zabytek archeologiczny — paski, na których senat uniwersytecki wodzić chce wąsatą młodzież akademicką. Pierwszy ma znakomitego reżysera, ale przedziwny repertoar. Należy to w Krakowie do rzeczy najzwyklejszych, że jednego dnia grają ci sami prawie artyści *Górą nasi!* a drugiego *Złodziejkę*, trzeciego dnia *Wiarę, nadzieję i miłość*, czwartego *Oj, te dziewczęta!* i znowu dla odmiany nazajutrz z temi samemi siłami *Śmierć Wallensztajna.*

Co do ojców miasta, to większość ich wsławiła się niedawno zrzuceniem z tronu prezydenta dr. Weigla za to jedynie, że bratał się z żywiołami postępowymi. Już to hrabina X. i Księżna Z. prędzej ci wybaczą, jeżeli im złożysz wizytę razem z swoją metresą, aniżeli „kokietowanie z ulicą i wyzyskiwanie niskich instynktów tłumu." Walka była zażartą. Zawdzięczyć to należy oczywiście „przeniesionej na grunt krakowski tromtadracyi lwowskiej" — to też oglądałem *Reformę* ze wszystkich stron, czy się jej co nie stało po ostatnim pogromie, ale niewiasta zdrowa zupełnie i — o ile wiem — dobrze stoi na nogach. Tymczasem *Czas* żyje jeszcze wprawdzie i żyć będzie na łasce pańskiej bardzo długo, ale kąsa już przeciwników wprawianymi, niemal co roku odmienianymi zębami.

Te same paszczęki, ale już z innej trybuny — tem smutniej, że z profesorskiej— usilują pożreć wolnomyślniejszą, a z radością dodaję — znaczniejszą część młodzieży uniwersyteckiej, która ściśniona w karbach stańczykowskiej scholastyki, rozejrzeć by się pragnęła po szerszym nieco od krakowskiego widnokręgu. Jak się zakończyła walka dwu sprzecznych prądów, z góry idących i od dołu — wiecie: czytelnia akademicka została przez *c. k.* namiestnictwo zamkniętą. Niechętni dotychczasowemu duchowi, jaki panował w gronie młodzieży, sądzili, że z obaleniem jej przytułku zdołają zasypać gruzami także i kryjącą się w nim wolnomyślność. Spotkał ich przykry zawód. Nowozawiązane towarzystwo wybrało sobie zarząd, godny poprzedników swoich i przez usta przewodniczącego myśli przewodnich — choć w sposób umiarkowany — wysnuło z siebie wątek taki, że rządowi moralnemu pozostała ta jedna alternatywa: albo powtórnie rozwiązać towarzystwo, albo — i to podobno będzie najrozsądniej — kapitulować. Chyba „nie wstrzymają życia fal!..." Asnyk im to powtarza ciągle w *Reformie.*

Ale wracam do naszej Tygrysówki nad Pełtwią, gdzie czeka już na mnie nowy zeszyt *Wiadomości statystycznych o stosunkach krajowych*, wydawanych przez Wydział krajowy pod redakcyą dr. Tadeusza Pilata, posła sejmowego i profesora uniwersytetu. Pomijając inne artykuły, zwracam dziś uwagę tylko na cyfry, odnoszące się do licytacyj sądowych posiadłości włościańskich i małomiejskich. Włosy na głowie stają, gdy się przegląda tę rubrykę, chociaż w ostatnich czasach stosunki powrawiły się nieco. Największe cyfry wykazują lata 1879 — 1881. W pierwszym roku zlicytowano gospodarstw małych 3,164, w następnym 3,240, w trzecim 3,083. Z wyżyny trzech tysięcy spada w r. 1882 liczba licytacyj na 2,274, a w r. 1883 na 2,288. Ten zwrot pomyślny jest bez wątpienia wynikiem zarządzeń ustawodawczych, bynajmniej zaś objawem polepszenia się ekonomicznego stanu kraju. Pod względem ilości egzekucyj sądowych za długi jedna chyba tylko Chorwacya w całej monarchii austro-węgierskiej współzawodniczy z nami skutecznie. Prowincya nasza liczy trzy razy tyle gospodarstw miejszych, co Chorwacya, mimo to odbywa się tam co roku 3,000 licytacyj, głównie za niezapłacone rządowi podatki, podczas gdy u nas egzekucyj tego rodzaju bywa najwyżej 500. Jest to i tak cyfra dość spora. Lud na nią sarka, czasami się i burzy, a dzienniki wtedy konfiskują.

Za co *casus* ten niemiły spotkał onegdaj *Kuryera* — nie wiem, dość, że zabrano mu cały nakład pierwszy. W drugiem wydaniu, ponieważ pustych szpalt zostawiać teraz nie wolno, w miejsce artykułu wstępnego dano bajkę Morawskiego, którą zapewne znacie, a więc posłuchajcie. Powien chłopczyk dostał na imieniny szklankę. Chcąc z niej gwałtem zrobić kieliszek, gniótł ją i ściskał, aż szklanka pękła i chłopca pokrwawiła. Sens bajki moralny jest następujący:

„Jeśliś zbyt ciężył ludowi twojemu
I twój go ucisk do wybuchu zmusił:
Biada, biada duszonemu,
Biada i temu, co — dusił!.."

Cóż robić! Ludziska biorą się na sposoby, jak umieją. P. Villa np. nie mogąc wziąć *c*, wyciąga rękę w górę — toż samo czynić zwykli w przeciwnym kierunku basiści, osłabieni w dolnych rejestrach. Ale nie o to chodzi! Żal mój do bieżącego sezonu śpiewaczego główne źródło ma w tej okoliczności, że *Carmen* wasza śpiewa tego roku w Pradze, a nie we Lwowie. Bo i co mi to za opera bez panny Herman! Wy macie przynajmniej p. Ehrenfeuchta, ale kto nas w tym roku uczyć będzie o „leśnym ptaszku" i „cygańskiem dziecięciu, któremu nie ufaj, ani wierz?.." Kto nas powiedzie „w ten górski kraj, dla zakochanych gdzie jest raj?.." Kto nam nerwy „natęży?.." A to co, u licha? Jakiś pegaz podsadza grzbiet podemnie zcicha i pędzi... Próżno wołam, nadaremnie wrzeszczę: stój!.. tpru!.. nie piszę jeszcze wierszy!

Ufff!.. Nie wiedziałem, że to taka szalona jazda. Zdołałem wreszcie okiełznać *das göttliche Beest*, ale skąd się mu nagle wzięła fantazya taka? Eh, to tylko mizerne naśladownictwo Warszawy i jej wieszczów w tajemnem przeczuciu powrotu panny Wisnowskiej na naszą scenę... Tylu tam bowiem u was poetów i niepoetów napłodziło rymów na cześć pełnej talentu wychowanki naszej, że na samo wspomnienie jej wierszami człowiek gada z taką łatwością, jak nieprzymierzając pp. Bełza i Kostecki na bankiecie dla Bałuckiego, który mu wyprawiło niedawno nasze Koło literackie. Bądź co bądź, czerwonym ołówkiem podkreślić wypada przyrost personelu lwowskiego. Żal mi tylko tych studentów, co sobie głowy rozbijać będą, spadając w zachwycie z paradyzu...

. . . .

Ależ nie i jeszcze raz nie! W tej chwili otrzymuję ostatni numer *Prawdy* i ku największemu zdumieniu dowiaduję się z własnej mojej korespondencyi, że *„musiałem* tak pisać, gdym był młodym." Kiedyż bo ja, szanowny panie zecerze, nigdy nie „musiałem" tak albo owak pisać, choćby wiersz o całą kopiejkę miał być droższym! Ma być: *umiałem.* W najprzyjaźniejszem piśmie zostać przez siebie samego tak skompromitowanym, to przecie bolesne — nie, to się nazywa *pech* galicyjski!..

Również nie rozumiem, dlaczego dyablik drukarski zamilczał wstydliwie, że piękna żydóweczka z Kałusza nietylko przeszła na katolicyzm, ale także powiła czworaczki.

Oj-oj-oj! Tyle biedy naraz!...

Rewera.

Finanse Rosyi.

Program hr. Cancrina dotychczas w całości wykonanym nie został. Przyczyny tego szukać należy w okoliczności o której na wstępie wspominaliśmy, że finansowe operacye stosowały się tylko do wymagań polityki i potrzeb chwilowych, że rzeczywiste zasoby kraju, i jego produkcyjność, oraz siła płatnicza nigdy przez zarząd skarbowy dokładnie zbadanemi nie były, ani też nie przeprowadzono konsekwentnie żadnych środków ku podniesieniu przemysłu i handlu oraz skierowaniu ich na drogi rzeczywistej wytwórczości narodowej. Archiwa i akta ministeryum skarbu pod tym względem są milczące. Nie znajdujemy również tej części badań finansowych w dziele Blocha; tak zwana bowiem część statystyczna obejmuje tylko szematyczne wykazy dochodów i wydatków budżetowych, lecz nie stanowi wcale statystyki skarbowej.

Zapewne, statystyka taka nie jest częścią finansowości w znaczeniu dosłownem i pod

---

Mój przyjaciel Jaccnty był dziwakiem; w pracowni na minutę jedną nigdy nikogo nie zostawiał; nie było więc podobieństwa podpatrzeć tego, czego pokazać nie chciał. Zauważyłem tylko, że obie zakryte stalugi nie miały wcale na sobie tego pyłu, który zwykle pokrywa spokojnie utwory lub szkice dawno zapomniane; widocznie więc mój przyjaciel zaglądał do nich, kiedy nikogo nie było.

Tymczasem stawał się on coraz więcej smutny i zagadkowy; jego szerokie usta zapominały uśmiechów, a małe siwe oczy, zwykle grające zmiennym wyrazem, teraz zagłębiły się w czaszce i spoglądały z pod brwi gęstych, smutne, niepocieszone.

Daremnie siedział przed stalugami: zamyślał się, opuszczał pędzle, praca mu nie szła, a choć próbował się zwalczyć. wkrótce rzucał ją, zamykał pracownię i biegł gdzieś, gnany widocznie niepokojem, tęsknotą, może nadzieją.

Raz stanął przede mną i zagadnął mnie nagle:

— Więc ty doprawdy znajdujesz, że nie jestem taki brzydki?

Spojrzałem na niego i roześmiałem się mimowoli; wyglądał tak pociesznie ze swoją zafrasowaną miną.

Ten uśmiech sprawił mu widocznie wielką przykrość, widziałem to.

— Ależ nie, nie—zawołałem pospiesznie.

Wstrząsnął głową.

— Tak mówisz tylko — wyrzekł smutnie — przecież żadna kobieta nie mogłaby się we mnie zakochać?

— Rozumna...

— Rozumna, hm! — powtórzył zamyślony — kobieta rozumna! hm!

Zdawało się, iż w przekonaniu jego zrodziła się wątpliwość co do rozumu kobiety, o której marzył; brakowało mu zapewne skali porównawczej w tym względzie, a może też nie przyszło mu nigdy do głowy, by kobieta i rozum mogły chodzić w parze. Nie wytłomaczył się bliżej ze słów swoich, a ja znów nie pytałem; bo co do oryginału główki, wychodzącej uparcie z pod ołówka i pędzla mego przyjaciela, miałem ustalone zdanie.

(D. n.).

W. Marrené.

względem operacyjno-finansowym, lecz stanowi ona część integralną nauki o skarbowości, a dlatego, jakkolwiek praca p. Blocha przedstawia sama w sobie pewną całość skończoną, wypowiedzianej przez nas uwagi pominąć nie możemy *).

W tomie trzecim znajdujemy oddział bliżej nas dotyczący. Pisząc o finansach Rosyi, autor nie mógł poświęcać finansom Królestwa studyum wyczerpującego, ani wdawać się w szczegóły historyczne, w które tak obfitują dwa pierwsze tomy. Jest to tylko krótkie zestawienie cyfr budżetowych z czasów istnienia Kongresówki, aż do chwili całkowitego zlania się jej skarbu ze skarbem Cesarstwa, to jest do roku 1867. Oddając słuszność należną dawnemu gospodarstwu w nieskazitelnem szafowaniu grosza publicznego, zarzuca mu wszakże p. B. nie bez racyi konserwatyzm zbyteczny, przechodzący niekiedy w pewnego rodzaju ociężałość, a nawet lenistwo.

Ponieważ konserwatyzm ten większą odegrał rolę w finansach naszych, aniżeli komuś, mało w te sprawy wtajemniczonemu, zdawałoby się i nie zawsze korzystnie oddziaływał na stan kraju, więc pozwalamy sobie dodać w tym przedmiocie słów kilka.

Podług dawnych ustaw Królestwa kongresowego panowała w skarbowości wielka koncentracya wszelkich rachunków i funduszów tak pod względem kasowym, jak i budżetowym. Każda kasa powiatowa dokonywała poborów i wypłat tylko w zastępstwie niejako gubernialnej, ta zaś ostatnia w zastępstwie kasy głównej Królestwa, gdzie się gromadziły wszelkie superaty z wpływów Królestwa, po wykonaniu oznaczonych wydatków. Bilans budżetowy był ściśle zamknięty, wydatki nadbudżetowe zdarzały się rzadko, zamierzania zaś dochodów, zwłaszcza niestałych, obliczały się wprawdzie podług wpływów przeciętnych, lecz zwykle w cyfrach do maximum niedochodzących. Skutkiem tego były, zwłaszcza w latach późniejszych, często przewyżki wpływów nad zamierzenie budżetowe, które koncentrując się również w kasie głównej, wytworzyły z czasem w niej kapitał zapasowy, do 6 mil. rubli dochodzący. Był to więc system, przez niektórych finansistów wymarzony, lecz według zasad nauki finansowej naganny, jak to sam autor w innem miejscu uznaje, zarzucając hr. Cancrinowi dążność do wytworzenia takiegoż rezerwowego kapitału. Dla Królestwa kapitał ów żadnej korzyści rzeczywistej nie przyniósł. Wydatki były szczupłe, szczególnie nędzne było uposażenie niższych urzędników; nie użyto oszczędności, zdobytych na żadne cele produkcyjne. Marzeniem było jednego z ówczesnych kierowników doprowadzić ten fundusz do sumy, dorównywającej budżetowi rocznemu (około 23 mil. rubli), i bardzo być może, że marzenie to dałoby się urzeczywistnić, ale fundusz ów zaczął topnieć w nieskończonych awansach **); resztki zaś jego w r. 1867 przelane zostały, jako remanent, do ogólnych dochodów budżetowych Cesarstwa, w sumie około 4 mil. rubli.

Jeszcze więcej konserwatyzmu okazała administracya skarbowa w gałęzi poborowej. Jak wiadomo, do r. 1867 głównym podatkiem stałym w Królestwie była *ofiara*, jeszcze przez sejm czteroletni ustanowiona. Wiele w swoim czasie o niej mówiono, szydzono z nazwiska przez szlachtę wymyślonego, zarzucano rozkład nierówny. Ale kto miał w ręku rejestry pierwotne z r. 1789, a zechce do tego uwzględnić czas krótki, w przeciągu którego ustawa wykonaną została, ten owszem podziwiać będzie cały porządek, w obliczaniu podatku zachowany.

Że obrachunek nie mógł być jednostajny we wszystkich częściach kraju, temu zaprzeczyć nie można; ale na początek rzeczą ważną była sama zasada podatku powszechnego *dochodowego*, do którego wszakże w sąsiedztwie dotychczas nie przyszło. Należało tylko po ustanowieniu podatku obmyśleć środki regulacyjne, poprawić spisy, zarządzić nowe rewizye. Inaczej na to zapatrywały się rządy, które po r. 1795 kraj w posiadanie objęły. Austrya i Prusy jedno tylko miały przekonanie, iż *ofiara* była w stosunku do dochodu za umiarkowanie obliczoną; podwyższyły ją więc o pewien procent, odkładając regulacyę do lepszego czasu. Rząd Księstwa Warszawskiego polecił tylko pociągnięcie do podatku objektów, po r. 1789 przybyłych, tudzież dodał do poborów jeszcze kontyngiens liwerunkowy, który już nie od dochodu, lecz ze zbiorów rolnych płacono. Również jakoś i za Królestwa kongresowego nie zdobyto się na regulacyę. Ukazem wprawdzie z d. 10 stycznia r. 1848/9 polecono uporządkowanie ofiary i podymnego, lecz skończyło się tylko na podwyższeniu pierwszej o 50%. Nareszcie b. Komitet urządzający postanowił podnieść ofiarę tak dawną, jako też podwyższoną z r. 1849 jeszcze o 50%, czyli o 75% pierwotnej. Gdy więc w roku 1864 i następnych wzięto się na seryo do uregulowania podatków gruntowych i postanowiono zachować do rozkładu dawną cyfrę owych podatków dworskich, rozkład dawny okazał się tak nierównym i nieproporcyalnym w różnych miejscowościach, że wypadło sumę około 400 tysięcy rubli przenieść z południowych gubernii Królestwa na północne. Również wiele wadliwości istniało w poborze podatków niestałych; nie wchodząc w szczegóły, wspomnimy tylko o monopolach: solnym, który do samego rządu należał, i tytuniowym, który w prywatnym ręku pozostawał.

Odbiegliśmy od rzeczy. Na zakończenie tego szkicu dodamy, że dzieło Blocha, ze względu na bogactwo treści, stanowi niepospolity w literaturze ekonomiczno-finansowej nabytek, z którym zwłaszcza wypadnie dobrze rachować się wszelkim następnym badaczom nie tylko finansów, ale i dziejów Rosyi. Ze względu na swą myśl przewodnią nie może ono przypaść do przekonania odrębnej szkole ekonomicznej, koncentrującej się około redakcyi *Moskiewskich Wiedomosti*, która obsypuje obecnie zarzutami nawet samo ministeryum skarbu i kruszy kopię w obronie cyrkulacyi papierowej. Lecz okoliczność ta raczej na korzyść dzieła i jego zalet przemawia.

W terminologii przez p. Blocha użytej znaleźliśmy cokolwiek nieprawidłowości, a to, jak się zdaje, z powodu niewłaściwego spolszczenia niektórych nazw rosyjskich. Tak np. znajdujemy, że za czasów Piotra W. zarządzał sprawami skarbowemi w gubernii *komornik* z podwładnymi. Po rosyjsku urzędnik nazywał się *kamerir*, to jest rządzący kamerą, urzędem pilnującym dochodów skarbowych. Był to więc dyrektor lub radca skarbowy, nie zaś komornik, i dlatego właściwiej by było pozostawić wyraz *kamerir*. Również *opłaty ziemskie*, wszędzie nazwane są opłatami *gruntowemi*, kiedy tymczasem nazwa opłat *ziemskich*, tyle co *ziemstwa*, zarówno daje się użyć w języku rosyjskim, jak i w polskim. Wyraz zaś gruntowy po rosyjsku tłumaczy się *poziemelnyj*. *Izby kontrolne* (kontrolnyja pałaty) mylnie są nazwane *izbami skarbowemi*, gdyż te ostatnie istniały oddawna, a nazwisko *kontrolnaja* odpowiadała znaczeniem *obrachunkowej*. W miejsce powszechnie używanego wyrazu *dochód brutto*, używa autor wyrażenia *dochód surowy*; neologizm ten nie jest zrozumiałym, gdyż nie stanowi przeciwieństwa do *dochodu czystego*, itd.

Paweł Wysocki.

*) Podług ostatnio otrzymanych wiadomości przy departamencie podatków stałych utworzonem zostało specyalne biuro do statystyki skarbowej. Zdaje się ono być w związku z projektowanem ustanowieniem urzędów i inspektorów podatkowych; czy będzie szczęśliwszem od swych poprzedników (komisya podatkowa) — przyszłość okaże.

**) Awanse te były także jedną ze stron ujemnych dawnego systemu; gdyż o ile trudnem bywało w stanie normalnym powiększyć cyfrę wydatku budżetowego lub wyjednać kredyt nadbudżetowy, o tyle w razach nadzwyczajnych — łatwem wyszafować pieniądze *tytułem awansu*, przed wyjednaniem upoważniającej na to decyzyi.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

W. Kościałkowska. **W półcieniu.** Opowiadanie i obrazki. Warszawa.

Nieszczęśliwa miłość, zawód, rozczarowanie stanowią treść większej części obrazków p. K. Talent autorki nadaje się wybornie do malowania uczuć erotycznych; miękkie, barwne, nieraz pieszczotliwe pióro stworzone jest do opisywania istot o płowych warkoczach, postaci wiotkich, eterycznych, których drobne usteczka ronią dźwięki podobne do stłumionych pocałunków i kwileń dziecięcych! (*Elegia*). To też charaktery niewieście z wyższych sfer najlepiej się autorce udają. Taka Klementyna Ramułtówna (*Wrócona życiu*), delikatny kwiatek, wychuchany pod kloszem bogactwa i tradycyi, skamieniały przy pierwszym chłodnym powiewie rzeczywistości — jest postacią najzupełniej logiczną. Czy również jest logicznem uleczenie jej zapomocą litości nad biednem dzieckiem— to już należy do tajemnic kapryśnej natury ludzkiej. Ramułtówna, „marmurowo-czysta,“ egoistka, przesiąkła pesymizmem, uważająca niedolę jako konieczność życia zwykłych śmiertelników, powinna była odwrócić się ze wstrętem od dziecka upadłej kobiety. I odwróciłby się może, ale w skostniałem sercu tlała iskra gorącego uczucia dla człowieka, który był ojcem tego dziecka. Stare wspomnienie i litość budzą ją z letargicznego spokoju — wracają życiu. Postać Joanity, umierającej w nędzy jawnogrzesznicy, odznacza się kilku realnymi rysami.

Lepiej jeszcze niż Klementyna skreśloną jest Krystyna Kietliczówna (*Rozeszli się*). Także córka wysokiego rodu, wiotka, piękna i dumna, przez całe życie toczy bezsilną walkę z krępującymi ją przesądami. Ją jednak od śmierci za życia ratuje umysł wyższy i serce czułe, gotujące zarazem straszne uczucie pustki w staropanieństwie. *Rozeszli się* należy do najlepszych obrazków w całym zbiorku: bohaterka mówi wyraźnie, czego chce, za czem tęskni, a że tęsknota za dzieckiem i rodziną jest bardzo właściwa charakterom kobiecym, więc szczerością budzi sympatyę w czytelniku. Nawet Adolf Kietlicz udał się dobrze. Wprawdzie, rzadko się zdarza, żeby mężczyzna dojrzały marzył, jak o ideale, o osobie nieznanej nawet z fotografii; rzadziej jeszcze, żeby to marzenie było tak uporczywie stałem. Po za tą okolicznością p. Adolf jest człowiekiem zupełnie naturalnym. Obok innych szlachetnych pragnień, chce mieć żonę rozumną, piękną, dobrą, słowem, godną siebie towarzyszkę życia. Przy pierwszem spotkaniu z wymarzonym ideałem, ujrzawszy zaledwo biały płaszcz i wyniosłą postawę, przerażony zbyt arystokratycznem otoczeniem (o którem przecież musiał coś i dawniej słyszeć), ucieka — i żeni się z ładną, miernie rozsądną kobietką. Po niejakimś czasie, rozczarowany, gotów jest zdradzić żonę i dziecko dla idealnie rozumnej, szlachetnej Krystyny, którą poznał niestety — zapóźno! Od szaleństwa ratuje go przekonanie ukochanej, że „miłość bez rodziny i poza rodziną jest straszną męczarnią.“ Rozeszli się tedy — a jeśli Krystyna zechce być konsekwentną i nadal —zapewne nieprzed-

się spotkają. „Une femme ne vit et ne ›urt que d' amour“ — służy za dewizę malutkiej, sympatycznie skreślonej syl›tki kobiety, która „była niepotrzebną.“ lcząca, zamknięta w sobie, dogorywa motna bez rodziny, przyjaciół, bez zna›nych nawet. w otoczeniu psa i kota, któ›ch przygarnęła dlatego tylko, że „byli ›potrzebni.“ Autorka z prawdziwie ar›styczną dyplomacyą rzuca zasłonę na jej zeszłość, położenie towarzyskie, dozwa›ąc czytelnikowi resztę w duszy dośpie›ać; natomiast, z plastyczną dokładnością eśli chorobliwy stan istoty, której się aje, że jest zbyteczną. Umiera wreszcie— rudno mieć dla niej współczucie! Wszak lko psa i kota umiała do siebie przy›lić, a ludzie byli widocznie jej „niepo›zebni.“

Strofa prozą jest to fragment, w którym dzięczna uczennica-kuzynka osładza swym zumem i miłem towarzystwem ciężkie wile swego nauczyciela. Przyznać trze›, że ziarna nauki nie przepadły marnie: ›bieta wypowiada wiele pięknych, głę›kich poglądów; mężczyzna mówi jeszcze ›ękniej — rzecz cała czyta się z wielką ›zyjemnością.

Anielka, Zgrany, Kruczek i *Wietrzyk*—tre›ią swoją wkraczają w sferę realizmu; ›erwszy szczególnie obrazek wykrojony życia jarmarcznych kuglarzy, przedsta›ia życie bardzo maluczkich i bardzo nie›częśliwych. Sfera ta widocznie zupełnie ›st obcą autorce; pomimo istotnego talen›, brak studyów z natury daje się czuć na ›żdym kroku. Powierzchowny opis, kilka ›zmów wcale niecharakterystycznych nie ›stąpi prawdy. Szczęśliwy pomysł zesta›ienia rozhukanej zabawy w budzie ze ›iercią lężącego za ścianą chłopca-akroba› nie wywołał należytego efektu. Stary łoczęga Kobyłka. ex-szlachcic i ex-arty›a, wygląda w obrazku jak pajac papiero›y, na którym wszelkie rodzaje farb zbyt widoczne. Pociągnięty za sznurek—bia› nad śmiercią syna, pociągnięty za drugi ›nurek—opowiada o swej przeszłości; jeśli ›ś nie wypowiedział wszystkiego, co na›żało, nie jego w tem wina: zapomniano trzecim, czwartym, dziesiątym sznurku.

Anielka — wcielona czułość, dobra cór›a, lepsza jeszcze siostrzyczka w teatral›ym stroju wpada do lekarza, błagając o ›omoc dla niebezpiecznie skaleczonego bra›, a podczas gdy lekarz kończy list, „ma› szczebiotka“ paple od rzeczy, unosi się ad mieszkaniem, przegląda się w lustrze, ›rosi o podarunki, pomimo że lekarz dość ›yraźnie nakazuje jej milczenie. W scenie ›j autorka dziwnie rozminęła się z arty›yczną prawdą. *Anielka* sztuczną jest od ›óp do głowy; córka awanturnicy, urodzo›a i żyjąca bez przerwy w jarmarcznej ›udzie, wśród trujących wyziewów szynku kałuży, ładna, a więc tembardziej wysta›iona na pociski rozhulanej gawiedzi, po›imo to wszystko niewinną jest, nieświa›omą, jak niemowlę. Więc jakiż pancerz ›trzegł ją od zepsucia, kiedy nietylko idyotką ›le nawet głupią nie była wcale? W całym ›brazku prawdziwym jest tylko koń, pies małpa: wychudłe, nie opuszczają pana, bo ›rzywykły,

Zgrany grzeszy też przesadą. Potomek ›nakomitego rodu, jedyny tego rodzaju okaz › całej okolicy, p. Bylina, traci fortunę, ›ula przez całe życie; miłość, małżeństwo przedewszystkiem kobiety ma sobie za ›ic, szydzi ze wszelkich świętości; pomimo ›o w sercu ukrywa idealnie czyste uczucie ›la pięknej, wiotkiej i dumnej dziewicy sąsiedniego dworku. Postać to nienowa, ›okutowała już pod rozmaitemi nazwiska›ai nie w jednej powieści. Autorka o mało ›e go nie wyciągnęła z przepaści złych na›ogów zapomocą rączki ukochanej kobie›y. Rączki tej nie dostał, z powodu, że ›iędzy rodziną Broni i Byliny istniała ›tara nieprzyjaźń — i to już się zdarzało nieraz. P. Bylina tedy hula po dawnemu, zbiera u siebie zgraję pijaków, graczów, wyprawia orgię. którą autorka próbowała opisać; takie sceny jednak nie nadają się do pióra kobiety: brak studyów z natury, czy może smak estetyczny, nie dozwalają odtworzyć prawdy. Karykatura lokaja a zarazem przyrodniego syna Byliny jest nieprawdziwą; gadatliwy synek wymyśla bezkarnie swemu panu-ojcu od dyabłów, hultajów, niecponiów, rej wodzi w całym domu, pomimo że Bylina nie jest wcale jakimś starym safandułą, niedołęgą; Józikowi też, pomimo bliskiego pokrewieństwa, szczególniejszych afektów nie okazuje, z matką zaś jego wszelkie stosunki zerwał dawno, wydał ją za mąż i wyposażył. Bronia—to znana fotografia wiejskiej dziewki, wyemancypowanej trochę, gdyż oprócz domowego gospodarstwa, zajmuje się jeszcze interesami prawnymi swojej rodziny.

Szablonowy wojak dziadunio, naszpikowany kulami, jest najsympatyczniejszą postacią w powiastce; oryginalny sposób używania rozmaitych terminów wojskowych w potocznej rozmowie wyróżnia go trochę od całego zastępu krewniaków w komedyach i powieści. Bylina umiera w końcu przy kartach i szampanie; uprzednio jednak rozporządza resztkami funduszu: spłaca długi, zabezpiecza przyszłość Józika, okrągłą sumę przekazuje dziadkowi Broni, jako wynagrodzenie za las zagrabiony przed laty; tym sposobem ratuje rodzinę od wywłaszczenia z majątku. Bronia zaś w perspektywie wychodzi za młodego człowieka, który tymczasem jest studentem, ale w końcu zostanie doktorem, adwokasem, czy inżynierem. Takich Broni i dziadków wojaków pełno na świecie; czy również pospolitą osobistością jest Bylina? Człowiek z dobrem sercem, rozsądny, wykształcony. według zeznania autorki, zdolny nawet do poetycznych zachwytów, pogardzający w najwyższym stopniu swojem hulaszczem otoczeniem — przez całe życie jest tylko hulaką. Okaz to bodaj zbyt już wyjątkowy. Powiastka jest najsłabszą w zbiorku.

Kruczek i *Wietrzyk*, biografie psa i konia, zyskałyby wiele na doniosłości, jeśliby ściślej były związane z życiem ludzi. W *Kruczku* myśl ta zarysowywa się zlekka, przy końcu szczególnie, kiedy stary, niepotrzebny pies kończy życie w lepiance razem ze starym niepotrzebnym człowiekiem; obie powiastki posiadają jakąś rzewną tęsknotę, właściwą zresztą wszystkim utworom p. K. Strona opisowa zajmuje dużo miejsca, za dużo nawet stosunkowo do rozmiarów nowelek. Autorka lubuje się w opisywaniu okolic, nocy i wieczorów letnich, lubi naturę i umie o niej mówić. Odnośnie do ludzi styl jej jest raczej obrazkowy. niż obrazowy. Czytając np., jak Anielka, siedząc przed jarmarczną budą, stroi się w korale z jarzębiny i takież korale zawiesza psu na ogon; jak wykwintna amazonka z bukietem róż w ręku stoi zadumana we drzwiach lub na balkonie, albo jak dumna Kietliczówna, otulona białym atłasowym płaszczem, schodzi po wspaniałych schodach obok starego księcia, a nieznajomy kochanek, przyczajony w bramie, przygląda się im ukradkiem; czytając podobne opisy, przychodzi na myśl, jakby to ładnie wyglądało na obrazku! Rysów, cech wybitniejszych zdradzających charakter lub upodobanie, za pomocą których przedstawione osoby można byłoby wyróżnić wśród szarego tłumu tego, nie znajdujemy. Pomimo to, każdy obrazek nosi cechę niezaprzeczonego talentu.

—*a.*—*a.*

LITERATURA DZIECINNA.

Grudzień jest miesiącem dzieci; on daje najliczniejsze zabawy, podarki i książki. W tych ostatnich zapanował szemat, zastępujący pomysły oryginalnych talentów, których nam obecnie w tym kierunku brak. Zwykle autorowie przygotowują a wydawcy wystawiają na bazarze dziecinnym: religijno-moralne powiastki, fantazye podróżnicze i zbiorki obrazkowe.

Najczynniejsza firma Gebethnera i Wolffa wyprowadziła ze swej arki po parze każdego z tych trzech gatunków. P. Józefa Kamocka opracowała zbiorek p. t. *W imię dobra i prawdy* (ilustrowany), zawierający dwadzieścia kilka opowiadań moralnych z podkładem religijnym. Wysławia ona w nim rozmaite cnoty: sumienność, przyjaźń, wdzięczność itd. lub wykazuje złe skutki wad. Na tendencyę autorki można się z niewielkiemi wyłączeniami zgodzić, ale wątek, w który wpleciona jest maksyma, zwykle bywa mdły i nie budzi dostatecznego zaciekawienia. Panuje u nas dość rozpowszechnione przekonanie, że dla dzieci może pisać ten, kto nie umie pisać dla dorosłych. Tymczasem i tu potrzeba talentu, rzeczywistego talentu, który p. Kamocka posiada o tyle, o ile ma dobre chęci.

P. M. J. Zaleska wystąpiła z trzema tomami przeróbek i tłomaczeń. Pierwszy p. t. *Z pałaców i chat* jest naśladowaniem „z angielskiego“ (kobiety takiem ogólnikowom wyrażeniem zastępują często nazwisko autora oryginału) i zawiera trzy opowiadania moralne z trzema obrazkami. Tu stopień zajęcia uwagi młodych czytelników jest znaczny, ale nie pojmujemy, dlaczego p. K. „naśladując“ wzór angielski, nie przeniosła wątku na grunt swojski.

Mayne-Reid i Cooper należą do talentów; wszelkie zaś awantury podróżnicze w odległych częściach świata są przez dzieci chciwie czytane. To też dwa przekłady tejże ręki *Mieszkaniec puszczy* i *Dolina bez wyjścia* (oba z ilustracyami) niewątpliwie pociągną ku sobie młodą imaginacyę, łaknącą wypadków niezwykłych. Naturalnie tego rodzaju książki mają dla anglików zupełnie inne znaczenie, niż dla nas; tam dzieci poznają w nich kraje, którymi ich ojczyzna ma ciągłe stosunki; u nas karmią one tylko wyobraźnię i zdobywają nieco wiadomości geograficznych. Azya, Ameryka, Afryka, Australia — to dla małego anglika części jego państwa, rynki jego przemysłu; dla małego polaka — to tylko nieznane ziemie. Czy więc nie byłoby pożądanem, ażeby autorowie i wydawcy książek dziecinnych umieszczali ich osnowę bądź na własnej ziemi, bądź na tych, z któremi społeczeństwo nasze pozostaje w bliższej styczności?

Z wydawnictw obrazkowych firma Gebethnera i Wolffa przygotowała trzy kolorowane: *Dziecięcy świat*, który przedstawia rozmaite widoki zabaw dziecinnych i drobne krajobrazy z wierszykami p. M. Zielińskiej; *Przygody dziatwy w domu i szkole* z rymowanemi objaśnieniami p. Maryi Ciświckiej, wreszcie *Teatrzyk obrazkowy.* Ten ostatni zawiera wysuwające się na kształt szopki sceny zabawne, do których dodano komentarze. Jest tam Robinson Krusoe, kot w bucikach, czerwona czapeczka i piękna królowna uśpiona. Cały pomysł zdradza pochodzenie niemieckie, bo jest w dowcipie ciężki. Nakładcy nasi powinniby więcej pożyczać od francuzów, jeśli na miejscu konceptów brak. W Paryżu mają smak i wielką pomysłowość — wyobraźnia niemców jest często podobna do przysłowiowego martwego cielęcia, rusającego ogonem.

Oto jest bazar dziecinny jednej, najpoważniejszej firmy. Inne również przygotowały, na co je stać było; ale przeglądać

wszystkich stołów nie możemy, tembardziej, że nie zawsze dają one znać o sobie.

M.

PIŚMIENNICTWO NIEMIECKIE.

F. Matthaei **Die wirthschaftlichen Quellen Russlands**, tomów dwa, Drezno 1885.

Niemcy w ostatnich latach badają nader pilnie życie Rosyi, zwłaszcza ekonomiczne. Wyjaśnia się to nietylko interesem naukowym narodu, który z godną najwyższego podziwu wytrwałością usiłuje wszędzie sięgnąć swoją wiedzą, ale nadto korzyściami praktycznemi. Wszakże owe 24,703,688 kilom. kw. w sąsiedztwie, olbrzymia przestrzeń, zaludniona rzadko, niedojrzała cywilizacyjnie, niemowlęca w rozwoju ekonomicznym — to olbrzymie morze, do którego zatamowane w swym rodzinnym obrębie rzeki i strumienie przemysłu niemieckiego dążą. Znać więc warunki i siły gospodarcze takiego obszaru należy i warto. F. Mathaei daje rzeczywiście obraz możliwie pełny. W dwu grubych tomach przedstawia on szczegółowo: rolnictwo, górnictwo, przemysł i handel, wypełniając je obfitym materyałem statystycznym i przeplatając wszystkie swoje wywody nieprzerwaną nicią wiary, że Rosya, posiadając niezmierzone bogactwa w swem łonie, może śmiało patrzeć na przyszłość, jeśli tylko zmieni system gospodarstwa ekonomicznego. Nie powinna ona nawet lękać się tego współzawodnictwa z zagranicą, które dziś najwięcej sieje trwogi. „W obecnym stanie wyczerpywania jednego z najwydatniejszych źródeł ekonomicznych, rolnictwa — powiada autor — przy średnich urodzajach, Rosya może małą jedynie stosunkową cząstkę swej produkcyi oddawać zagranicy, a nawet przy dobrych plonach potrzebuje wielu lat do wypełnienia tej luki, którą w zapasach, przeznaczonych do wyżywienia ludności, zrobił znaczny, przez handlowe kombinacye spowodowany wywóz zboża od r. 1877—80, oraz klęski 1880/1. Rosya, posiadająca przeszło 87 milionów mieszkańców, jest dla swoich produktów najpotężniejszym konsumentem a co rok, przez naturalny przyrost, pomnaża się ta ludność więcej niż o milion a z nią w równym stosunku wzmaga się zapotrzebowanie.“ Zaleconej zmiany systemu gospodarczego autor bliżej nie określa, lecz ogólnikowo zaznacza potrzebę „otwarcia źródeł pomocniczych.“ Nie chce on bowiem „grać roli nauczyciela domowego“ względem Rosyi i z tej samej przyczyny nie dotyka wcale stosunków politycznych.

O dziele tem rzec można, że zawiera ono materyał obfity, ale nieznajomość organizmu państwowego i ekonomicznego Rosyi również wysoką. Autor słuchał tylko cyfr, a cyfry mu wiele powiedzieć nie mogły. Niema nic błędniejszego, jak wnioski wyciągane z ułamkowych obliczeń statystycznych. Jest to najpewniejsza droga do widzenia rzeczy na wywrót.

Das russische Reich in Europa, Berlin 1884 r.

Bezimienny autor przedstawia całkowity i wszechstronny obraz państwa rosyjskiego. Jakim ów obraz jest w wielu szczegółach, objaśni nas samo to, co znajdujemy o polakach i co przytoczymy tu dosłownie:

„Wpływ żywiołu polskiego na kierownicze koła Rosyi jest większy, niż zwykle przypuszczają. Układność zewnętrzna giętkich polaków, mądrość katolickiego duchowieństwa, a może jeszcze bardziej urok polskich kobiet—zapewniają polskości niemałą siłę w społeczeństwie rosyjskiem... Niezliczonym a oddawna wypartym „szlachcicom“ nie pozostało *nic innego*, jak szukać stanowisk w armii i urzędach rosyjskich.“

Ale koroną tego wywodu jest następujące, pocieszne zestawienie faktów: „Okoliczność — powiada autor — że w Petersburgu przywiązywano wielką wagę do porozumienia z Rzymem, które wreszcie przyszło do skutku, tak dalece rozbudziła nadzieje polaków co do poparcia ich pragnień narodowych, że przez tłumne ruchy w Instytucie nowo-aleksandryjskim i w Uniwersytecie warszawskim usiłowali spełnienie tych życzeń przyspieszyć. Ale naturalnie skutek okazał się wprost przeciwnym.“

Gdyby autor takie brednie pisał o Afganistanie, możnaby go wytłomaczyć; ale pleść je o społeczeństwie w sąsiedztwie żyjącem, o faktach świeżej daty, to doprawdy wielki wstyd *„für die bekannte deutsche Gründlichkeit.“* W książce jest wiele tego rodzaju dziwolągów. A jednak (o ile od błędów wolna) zawiera ona treściwy i przejrzysty szkic, a na wstępie — obfity wykaz bibliograficzny dzieł Rosyi dotyczących.

Dr. F. S. Krauss **Sitte u. Brauch der Südslaven**, Wiedeń 1885.

Słowianie krzątają się, uprawiają małe zagony, ale wreszcie przybywa ze swym pługiem niemiec i orze... nowinę. Trzeba wszakże przyznać, że dr. Krauss na polu badań obyczajów i zwyczajów słowian południowych miał dzielnego poprzednika, prof. Bogošic'a, którego prace zaznaczaliśmy wielokrotnie w *Prawdzie.* Zebrał on jednak z niemiecką mozolnością bardzo bogaty materyał, składający się (w znacznej części) z niedrukowanych pieśni, powiastek, nieopisywanych obrzędów, obchodów itd., w których zwyczaje i obyczaje Słowian południowych występują na jaw. Stosunki rodzinne i ślubne, położenie kobiety wogóle, żony, matki, wdowy itd. przedstawione są nader szczegółowo. Na 658 stronicach zmieściło się tego etnologicznego plonu bardzo dużo. Autor uważa dzieło obecne dopiero za część pierwszą swej pracy w tym kierunku, który go widocznie natchnął wielkim do przedmiotu zapałem.

K. Marlo **Untersuchungen über die Organisation der Arbeit**, wyd. 2, zeszyt 1, Tybinga, 1884.

Dwadzieścia lat książka ta w pierwszem wydaniu (1850) czekała na uznanie, które jej teraz dopiero przysądzono ze składanymi procentami. Zawdzięcza ona spóźniony wyrok słynnemu ekonomiście Schäfflemu, który w r. 1870, w 5 lat po śmierci autora, zwrócił na nią uwagę świata naukowego. Winkelbach, profesor chemii i technologii, przedtem nigdy niezajmujący się sprawami ekonomicznemi, podróżując po Szwecyi, spotkał na wycieczce robotnika, który rozpoznawszy w nim ziomka (niemca), prosił go o załatwienie w ojczyźnie kilku interesów. „Ośmielony moją gotowością — pisze autor — skreślił mi porywający obraz swoich losów i niedoli, w której wraz z towarzyszami żyje. W czem tkwi przyczyna, pytałem siebie, że rozpostarty przed oczami mojemi raj tyle kryje nędzy? Czy natura jest źródłem tych cierpień, czy je sprowadza człowiek? Dotąd, jak wielu badaczów przyrody, zwracałem mój wzrok w warsztatach przemysłu tylko na piece i maszyny, a nie na człowieka, tylko na produkty pracy ludzkiej, a nie na producentów, i dlatego obcem mi zupełnie było wielkie państwo nędzy, które stanowi podstawę naszej wybarwionej cywilizacyi.“ To rozmyślania popchnęły Winkelbacha stanowczo do badań ekonomicznych, których owocem była dziś już słynna praca, pod pseudonymem K. Marlo wydana. Na czele swego systemu stawia on dawną, czysto chrześciańską ideę stosunkowego uprawnienia wszystkich jednostek, godząc zasadę swobody z zasadą równości i odpierając z jednej strony zapędy zwolenników bezwzględnej wolności, a z drugiej — wyznawców bezwzględnego zrównania. Całe dzieło odznacza się wyjątkową gruntownością i bezstronnością.

E. Dahn **Völkerrechtiche u. statsrechtliche Studien.** Berlin 1885.

Po czynach, dokonanych przez ludzi potężnych, zjawiają się zawsze usłużni uczeni, którzy je uprawniają naukowo. Takim uczonym jest p. F. Dahn, który obok, innych studyów z dziedziny prawa państwowego, usprawiedliwia działania Niemiec, zwłaszcza w starciu z Francyą. Ciekawą jest jego „kopia skruszona za Rumunię.“ „Ausrto-Węgry a zatem i Niemcy — powiada on — mają w tem interes, ażeby to drobne, *niesłowiańskie* państewko utrzymało się, kwitło materyalnie i w swej państwowej samowiedzy nie doznało żadnego uszczerbku, żadnego poniżenia... Minął już czas, kiedy przyjaźń rosyjska wznosiła się niebotycznie (*thurmhoch*) po nad wszelkie zakłócenia. Nie potrzeba być ani politykiem, ani prorokiem, lecz tylko prostym historykiem, ażeby zrozumieć, że panslawizm doczeka się swego dnia napadu. A ten napad panslawizmu jest według nas tylko kwestyą czasu. Czy wobec tego niebezpieczeństwa należy nad brzegiem Dunaju mały wprawdzie, ale antisłowiański wał osłabiać, czy też wzmacniać?“

Graf Leo Tolstoi **Worin besteht mein Glaube?** z rosyjskiego rękopisu tłomaczyła Zofia Behr, Lipsk 1885.

Autor tak o sobie mówi: „Żyłem w świecie 55 lat, a z nich — wyjąwszy 14 — 15 wieku młodzieńczego — 35 jako nihilista w prawdziwem tego słowa znaczeniu, tj. nie jako socyalista i rewolucyonista, lecz jako człowiek całkiem pozbawiony wiary. Od lat 5 uwierzyłem w naukę Chrystusa— i życie moje stało się nagle innem: nie pragnąłem tego, czego pragnąłem dotąd, a czego nie pragnąłem dotąd, pragnąłem teraz. Co przedtem uważałem za dobre, teraz wydawało mi się złem, a złe dobrem. Zdarzyło mi się, jak człowiekowi, który wychodzi dla załatwienia jakiejś ważnej sprawy i w drodze przekonywa się, że ona jest bezużyteczną — i wraca. Wszystko, co było prawem, stało się lewem, a lewe — prawem.“ I w cóż hr. L. Tolstoj teraz wierzy? „Wierzę — odpowiada on po długich objaśnieniach Nowego Zakonu — że moja szczęśliwość na ziemi o tyle jest możliwą, o ile wszyscy ludzie wypełnią naukę Chrystusa. Wierzę, że wypełnienie tej nauki jest możliwem, łatwem i przyjemnem. Wierzę, że dopóki ta nauka nie zostanie wypełnioną a ja będę jedynym między niewypełniającymi jej, nie mogę nic innego uczynić dla uratowania mojego życia od nieuniknionej zguby, jak wypełniając tę naukę. Wierzę, że moje życie według nauki świata byłoby męczącem, i że jedynie życie według nauki Chrystusa zapewni mi szczęście w tym świecie, który mi ojciec życia przeznaczył. Wierzę, że nauka ta daje szczęście całemu światu, że mnie ratuje od niechybnego upadku i zapewni mi najwyższą szczęśliwość w życiu przyszłem.“

Cała książka robi wrażenie spowiedzi umysłu złamanego i osłabionego.

MALARSTWO.

Wystawa szkiców.

Rysunki kredką i ołówkiem, dekoracye, płaskorzeźby, medaliony, szkice, studya, akwarele na płótnie, papierze, drzewie, atłasie, porcelanie, na marmurze nawet, zapełniają szczelnie cztery małe pokoiki „wystawy szkiców.“ Brak miejsca wido-

czny. Obrazki p. Alchimowicza np. tak ściśle przylegają jeden do drugiego, że tworząc jakby jedną całość, utrudniają nieco rozejrzenie się w szczegółach. Pomimo to wybornie malowane lasy litewskie, świeżutka sielanka w postaci dziewczęcia, od razu rzucają się w oko; wnętrze chaty, kask huzarza, kilka rodzajowych obrazków, a wszystko odznacza się taniością najniższą na wystawie! *). W tejże salce zbiór studyów Gersona: dwie głowy, malowanie woskowe na murze i na kamieniu, kilka szkiców ołówkiem, dwa widoki górskie, i dekoracye do pałacu Kronenberga: plafon, fryzy i narożniki, wreszcie zgrabny figiel malarski, przycisk marmurowy, w którym zużytkowaną jest każda żyłka, oświecony tylko lekkim odblaskiem księżyca. Al. i Max. Gierymscy ozdobili wystawę znakomitą głową męską, znaną już z Salonu Ungra, czy z Wystawy Sztuk Pięknych, głową dziecka i wizerunkiem konia. Chlebowski przedstawił szkic do obrazu *Joanna d'Arc* i wykończony obrazek „W pracowni malarza." Lentz—dwie głowy starca, mogące służyć jako ozdoba każdego salonu i portret mężczyzny, nieco przesadzony w kolorze. Z tej sali zasługują jeszcze na uwagę akwarele Millera, z których włoskie najlepsze; Schuppego — krajobrazy olejne, odznaczające się wielką taniością pomimo ładnego wykończenia; oryginały rysunków z wydawnictwa *Na Pomoc*; akwarele Jasińskiego, przepełnione słońcem i powietrzem, bardzo tanie, dwa szkice Heymana, dwa widoki Czajewicza i studya z natury Hilda. Panny: Mioskowska i Szymanowska umieściły siedm malowanych talerzy, obok Madonny (płaskorzeźba) Kryńskiego i wachlarza Alchimowicza, wykwintny ten sprzęcik zasługuje na również wykwintne rączki. Panna Mioskowska wystawiła jeszcze piękny ekran na atłasie i parasolik z całym zapasem motyli i raków. W drugiej salce spory kącik zajął Maszyński; pracom jego należy przyjrzeć się uważnie. Studya wschodnie, malowane widocznie z natury, znakomicie zrobione wnętrze kościołów i domów krakowskich, cyganka, arab, murzyn, a między tem wszystkiem malutki, bardzo piękny widok Algieru: dużo powietrza, trochę wody, a najwięcej talentu; o cenie milczę. Dowgird dostarczył sporo studyów z natury, odznaczających się przeważnie harmonią kolorytu. Szkice Konopackiego należą do najudatniejszych, on też namalował aż dwa parasoliki. Jakim sposobem obok widoków Brochockiego znalazła się cała plejada robót więcej niż miernych—to już tajemnica tandety, która wszędzie i zawsze wcisnąć się potrafi. Jakiś konik drewniany, dwie partackie głowy, nie mówiąc już o innych, którym żadnego grzecznego przymiotnika przypiąć niepodobna. W salce tej są jeszcze Romera rysunki ołówkiem i cztery portrety medalionowe, z których dwa odznaczają się szczególnie piękną robotą; dwa bardzo ładne i bardzo tanie pejzaże Owidzkiego, Szyndlera szkice do obrazu. W trzeciej salce Ryszkiewicz umieścił swoje konie akademickie i zwyczajne, rysowane z natury, które mu najlepiej się udały. Koń posłańca ma cały swój rodowód, wypisany na chudym grzbiecie i spuszczonej głowie. Rozen dał kilka wybornie wykończonych akwareli; Witkiewicz studya z natury: głowę konia i dziecka. Z działu dekoracyi wyróżnia się tło do fotografii przedstawiające krajobraz zimowy. Jeśli wobec tego tła nasi fotografowie mogą się uskarżać, że po akcesorya do swoich prac muszą sięgać aż za granicę, no, to już chyba nie mają gustu i znajomości rzeczy—trudno o szerszą perspektywę i lepsze wykończenie szczegółów. Tła, plafony, rozety, wogóle cały dział dekoracyjny pochodzi z pracowni artystyczno-dekoracyjnej Ryszkiewicza, Konopackiego i Jasińskiego. Panny: Gerson, Mioskowska i Rudnicka dostarczyły malowanych na atłasie wachlarzy.

Wystawa robi wrażenie przyjemne, a sprawiałaby jeszcze przyjemniejsze, gdyby ją nie stłoczono w kilku ciasnych izdebkach, w których ledwie rozejrzeć się można.

—a—a.

*) Malarze postąpili bardzo niepraktycznie, gdyż oprócz p. Alchimowicza, wszyscy niemal oznaczyli ceny zbyt wysokie i tym sposobem zniechęcili publiczność do dalszych tego rodzaju a tak potrzebnych wystaw. *Red.*

Zamojski pod Byczyną Matejki.

Matejko zaczyna zdumiewać nas już nietylko geniuszem, ale i płodnością. Wystawia on w szybkim postępie coraz nowe i wielkie obrazy. W tej chwili na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych znajdują się cztery jego prace, z tych dwie nowe: szkic, o którym wspominaliśmy i *Zamojski pod Byczyną*. Naturalnie główna uwaga pada na ten ostatni obraz. Artysta wybrał chwilę, kiedy wojsko austryackie składa broń a wyjeżdżający z bramy Maksymilian oddaje Zamojskiemu swą szpadę. Cała grupa, rozdzielona przez dwu przeciwników stojących na pierwszym planie, malowana świetnie, po matejkowsku i po matejkowsku zbyt stłoczona. Wódz austryacki (którego koń dziwacznie nogę podwinął) może zbyt przesadnie wyraża odwróconą twarzą swą odrazę, czy gniew; natomiast wódz polski sprawia uroczyste i sympatyczne wrażenie. Jestto jedna z najpiękniejszych postaci pędzla Matejki: znać w niej świadomą siebie energię, spokój siły, niepotrzebującej szamotać się i zuchwale pysznić. Inne figury żywe i charakterystyczne, a całość kompozycyi uderza piękną harmonią... Ale, zdaje nam się, że Matejko przeoczył ważną okoliczność. Kapitulacya odbywa się w nocy, przy pochodniach, obraz jednak nie otrzymuje od nich oświetlenia, lecz posiada jakąś jasność inną. Płonące pochodnie nie rzucają wcale blasku na przedstawioną przestrzeń i grupę, lecz—że tak powiemy — świecą w miejscu. Skutkiem tego rodzi się w widzu wątpliwość, jaką porę artysta wybrał? W każdym razie to jest pewnem, że jego obraz w nocy, przy ogniach inaczej by wyglądał.

Wspomnieliśmy o ścisku. Jest to właściwość Matejki, której wszystkie a zgodne uwagi zmienić w nim nie mogły. Szkoda! O ileby każdy obraz zyskiwał, gdyby koń nie stał na koniu, a człowiek na człowieku, gdyby to w spaniałe figury odsunęły się od siebie, uwydatniły z wielu stron, dozwoliły odgadnąć swoje stosunki. W tym utworze mniej, ale i w tym trzeba mozolnie wyszukiwać postaci, wzajemnie sobą przesłoniętych, trzeba nieraz składać ciała kawałkami widzialne. Przy bramie stoi ktoś: dostrzegasz tu nogi, tam głowę, tam zbroję — i domyślasz się, że to jedna postać. W innem znowu miejscu badasz, kto siedzi na tem koniu, którego głowa wygląda. Ale — jak rzekliśmy — z tą właściwością Matejki trzeba się raz zawsze pogodzić.

Po za nią, po za usterkami drobnemi *Zmojski pod Byczyną* jest utworem genialnym. I na to znowu musi się zgodzić nawet berliński lub wiedeński nieprzyjaciel.

LIBERUM VETO.

Cumberland rozebrany z tajemnic.—Jego zdziwienie.— Wiedeńscy uczeni a my. — Zbyteczne pytanie. — Potrzeba wyszukania śpiącego komitetu. — Dziwne losy Mickiewicza. — Od kogo on dziś zależy. — Zakład wychowawczy dla dzieci rodziców zamożnych. — Tresura w grzeczności. — Tęsknota do lat dziecinnych.

Wielka szkoda, że Cumberland umie tylko po angielsku. Przypuszczam jednak, że kazał sobie przetłomaczyć fejleton *Kuryera warszawskiego* i odjeżdżając pomyślał:

— Nie w ciemię bici, zaimponować im nie łatwo! Kiedy dawałem przedstawienia w Wiedniu, schodzili się uczeni, badali, wystawiali na próby i wyznali, że ostatecznie moja sztuka odgadywania myśli nie jest dla nich całkiem jasną. Tymczasem w Warszawie, ledwie zrobiłem kilka doświadczeń, zaraz znalazł się fizyo-psycho—(Cumberland nie wie, że i balono-filo-meteoro itd.) log, który zdjął ze mnie zasłonę tajemniczości, wytłomaczył zagadkę, a nawet ogłosił, że nie mam „żadnej tajemnicy." Tu majątku na łatwowierności ludzkiej zrobić nie można — to nie głupi Wiedeń ze swoją Akademią!

Dumny jestem z tego podwójnie: naprzód, że mamy *Tausendkünstlerów* w prasie, a powtóre, że nas wyprowadzić w pole nie łatwo. Wiemy, doskonale wiemy, że wyszukiwanie szpilek, odgadywanie myśli i cyfr polega na odczuwaniu delikatnych odruchów ręki osoby, użytej do doświadczenia, która, mając ciągle uwagę zwróconą na pewien przedmiot, mimowoli w wynalezieniu go przewodniczy. To jest tak proste, że dziwić się tylko można ograniczoności lub uporowi uczonych wiedeńskich, którzy na takiem objaśnieniu nie poprzestali. Niewytłomaczonem było dla nich całkiem zbyteczne pytanie: jeżeli nawet samo myślenie o czemś wywołuje odpowiedni ruch, jakim sposobem może go ktoś obcy odczuć wyraźnie nawet wtedy, gdy on jest niejako negatywnym? Na przykład: pomyślałem cyfrę 8, kładę moją rękę na ręce Cumberlanda, który pisze—co najwyżej ruch mojej ręki będzie go powstrzymywał od zakreślenia innej liczby, ale właściwej mu nie wskaże, a on ją przecież trafia odrazu. Zresztą zważyć należy, że nie każdy pisze znaki jednakowo. Dalej Cumberland odgaduje imiona ale jeśli pomyślimy *Jan* albo *Karol*, to nie trzeba zapominać, że imiona te po angielsku brzmią i piszą się inaczej; przypuścić zaś, jako rzecz „jasną," że ręka osoby doświadczanej wyciśnie wyraźnie na drugiej *J-a-n*, mogą tylko ludzie, którzy wszystko wiedzą *).

Z takiemi wątpliwościami borykali się profesorowie wiedeńscy. Jak rzekłem, dla nas Cumberland „niema żadnej tajemnicy," a na dowód tego Warszawa urodziła tylu Cumberlandów, że aż *Kuryer* zaleca jej wstrzemięźliwość w płodności, ale powinniśmy byli sprytnego szkota wyzyskać w celach ogólnego dobra. Kiedy odwiedził nas p. Wrschowetz (nie jestem pewien ortografii tego nazwiska) a później jakiś ksiądz, odgadujący w łonie ziemi wodę, korzystaliśmy z bytności posiadaczów „gałki z laską" a pierwszemu z nich nawet Magistrat zapłacił za wyszukanie źródła (daremnie świdrowanego). Studnie są nam bardzo potrzebne, ale inne rzeczy są jeszcze potrzebniejsze, a pozostają ukryte i mógłby je wyśledzić chyba tylko Cumberland. Nie mówię już o tak niewykonalnych przedsięwzięciach, jak np. wynalezienie owego, daremnie poszukiwanego, punktu literackiego, podpierającego poczwórne „redaktorstwo" p. Lewentala, który trzyma w budce suflerskiej pp. Pługa, Chmielowskiego, Kaszewskiego i Konopnicką a sam gra ro-

*) Fakt wpływu myśli na ruch mięśni był badany przez Chevreula, z którego doświadczeń i wywodów ułożono nawet osobne prawo psycho-fizyczne. Jeżeli na stole nakreślimy koło i zawiesimy nad niem obrączkę u nitki, której koniec trzymać będziemy ręką, dla usunięcia wahań opartą, i jeżeli utkwimy wzrok w to koło, obrączka zacznie się obracać. Inni psychologowie wywoływali to samo z zamkniętemi oczami — tylko myśląc o kole. Niewątpliwie w ręce objawia się zależny od mózgu ruch, ale w tem doświadczeniu jest on bardzo nieokreślony a w każdym razie wyczucie go ręką obcą i rozpoznanie kierunku (myśli) jest zadziwiającem.

ję „redaktora“ przez nich mu podpowiadaną, zamiast być ich rekwizytorem; ale czyż nie należało poprosić Cumberlanda o wskazanie, gdzie się schował komitet konkursu na pomnik Mickiewicza. Owo szanowne ciało, które posiada szczególny talent grzeszenia w swej roli, naznaczyło 31 grudnia jako ostateczny termin do nadsyłania projektów, ale przyrzekło na trzy miesiące przedtem, tj. 31 września, ogłosić listę sędziów. Nadchodzi już połowa grudnia, a o sędziach, do których wejść mieli i artyści zagraniczni, nic nie słychać. Skutkiem tego w jednem z tygodników ktoś woła: hej! hej! panowie, obudźcie się! już grudzień! za kilkanaście dni macie sądzić, a jeszcze nie utworzyliście *jury!* Tydzień mija od tej pobudki, a komitet chrapie. Paskudny czas, deszcz ciągle kapie, słońce przyćmione — komu w taką porę chce się wstawać, nawet dla obejrzenia projektów na pomnik Mickiewicza! Ale... czy przynajmniej coś z tego wszystkiego będzie—naturalnie prócz „nieobowiązującej do niczego“ w konkursie „tymczasowym“ nagrody dla projektu, który okazał się najgorszym. Coś przecie być musi, bodaj w guście krakowskim. Dziwne losy przechodzi po śmierci Mickiewicz. Nadewszystko zaś dziwnem jest to, że pełnomocnictwo w jego zagrobowej sprawie przejął Kraków—ten Kraków, do którego, gdyby poeta żył, miałby odrazę. Powiedziałby, jak przed 50 laty, do ludzi „rozsądnych“ z pod Wawelu: „Rozsądek, czyli wzgląd na okoliczności zmienne życia codziennego nie jest trybunałem na sądzenie spraw, dotyczących wieków i pokoleń. W czasach, kiedy umysły chore na sofisteryę pozwalają sobie o wszystkiem rozprawiać na prawo i lewo, rozum rodu ludzkiego, wygnany z książek i rozmów, chowa się w ostatnim szańcu, w sercach ludzi czujących.“ Może wielki poeta był gorszym politykiem, niż stańczycy, ale to pewna, że wcale by ich nie kochał i hr. Tarnowskiemu nie darował na pamiątkę rękopisu *Pana Tadeusza.* Musi on jednak po śmierci im ulegać. Jest to tyle smutnem, ile zabawnem, że kwestya: czy Mickiewicz będzie miał pomnik zależy od krakowskiego komitetu i... magistratu.

Niejeden z czytelników, przechodzących ulicą Marszałkowską, zwrócił zapewne uwagę na wymowny szyld „zakładu dla dzieci rodziców zamożnych.“ Szyld ten zawsze mi sprawiał niewymowną radość. Bo rzeczywiście: dzieci chłopskie, porzucane w domu podczas żniw i zjadane przez trzodę chlewną, lub robotników, pozostawiane bez żadnego dozoru i kąpiące się w rynsztokach przy 3 stopniach ciepła — zakładu nie potrzebują; ale dzieci rodziców „zamożnych!“ Co też one robią w tym zakładzie? Dostał mi się wreszcie czerwony anonsik, odpowiadający szczegółowo na to pytanie. Jest to fabryka aniołków ziemskich w całem znaczeniu tego wyrazu. Przyjmują się do tego Eldorado pedagogicznego tylko dziatki „ubrane czyściutko i *zgrabnie.*“ Od godz. 10 do 2 popołudniu „nie wychodzą nigdzie, *nawet na dziedziniec.*“ Wkrótce, dzięki staranej tresurze, stają się dziwnie grzeczne: „nie tupią, nie plują na posadzki, nie potrącają się, nie rozpierają, nie dotykają tapet, nie trzymają rączek przy buziach itd.“ Chodzą „na paluszkach, bez tupania i uprzejmie,“ słowem zachowują się „z dystyngcyą, jak z wizytą lub w kasynie,“ w przeciwnym zaś razie bywają „*sadzane* klęczeć na stole.“ Do ogrodu nie wychodzą *po czwarte* dlatego, że „ptaszki lub motyle i robaczki bezustannie przeszkadzają dziatkom zwracać uwagę na wszelkie nauki.“ „deklamują i śpiewają chórem *unisono* różne właściwe dla nich wiersze i piosnki polskie, ruskie i francuskie.“

Że w takim zakładzie „zordynarnieć“ niepodobna — przyznaję; że do gimnazyum przygotować się można — również, Ach dopiero teraz widzę, jak moje wychowanie było zaniedbanem. Naprzód nie chodziłem nigdy na paluszkach, powtóre nie umiałem piosenek, śpiewanych tam już przez dzieci ośmioletnie w trzech językach — i to *unisono,* po trzecie nie modliłem się „deklamacyjnie.“ To też ani ziemia nie miała ze mnie pociechy, ani niebo. Szkoda! Gdybym wrócił do moich lat dziecinnych, zaraz wpisałbym się do owego zakładu, głównie zaś po to, ażeby się nauczyć piosek w trzech językach. W dwu od biedy jeszcze bym zanucił, ale w trzecim — nic.

Ponieważ właściciele zakładu upraszają o rozpowszechnienie wiadomości o nim, więc zająłem czytelników moich tym Studzieńcem grzeczności, z którego małoletni figlarze wychodzą zapewnie *comme il faut!* Ciekawa rzecz, czy umieją pisać ortograficznie po polsku, bo z ogłoszenia ich przewodników domyśleć się trudno. Tak np. wyraz *dystynkcya* wymaga *k*, a nie *g* — nawet po francusku.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Zaimprowizowany sejm. — Głosy: z guberni grodzieńskiej, wileńskiej, mińskiej, z nad Wisły. — Najskuteczniejszy sposób ratowania się. — Co ryba zrobić może. — Skrucha szlachecka. — Lasy, drogi i cykorya. — Rozboje i pożary. — Upór przyjmujących cygara.

Chociaż nam „kongres“ ziemiański się nie udał, możemy jednak nad jego przedmiotem posejmować. Słuchajmy! Głos ma p. B. K. przedstawiciel gubernii grodzieńskiej w *Gazecie polskiej*:

„W spichrzach leży masa zboża wymłóconego, o które nikt nie pyta, a więc i usposobienie ziemian jest pesymistyczne. I gdybyż choć w perspektywie coś lepszego dostrzedz było można! Tymczasem jakoś się na to nie zanosi; kwestya np. popierania gorzelnictwa drobnego w celach czysto rolniczych, nie zaś przemysłowych, pozostała, jak wiadomo, odroczoną... na marne lat dziesięć, a to w tym celu, ażeby nagłą reformą nie zrujnować nieprzygotowanych do niej *właścicieli większych* przemysłowych gorzelni.

Pszenica amerykańska i po części indyjska również spać nam nie dają. Popłoch wszędzie. I nasi więksi ziemianie ruszać się niby po trosze zaczynają. Gdzieniegdzie odzywają się głosy, wprawdzie nieśmiałe jeszcze: „przemysł rolny, gospodarstwo mleczne, gospodarstwo pastewne, wypasy;“ a dalej: „zmniejszenie kosztów produkcyi i transportu, unikanie drogiego pośrednictwa, ulepszenie gruntowe...“

Wszystko to razem tworzy dziwną jakąś, w części tylko zrozumiałą symfonię— dla drzemiącego jeszcze, chociaż już przecierającego oczy, rolnika litewskiego...

Parcelacya większych majątków odbywa się tymczasem u nas na wielką skalę; nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby rozparcelowano części kupowali włościanie miejscowi. Niestety, jednak, tak nie jest; głównymi kupcami są mieszkańcy prowincyj nadbałtyckich. Niemcy korzystają z naszych anormalnych stosunków rolnych i usunięcia żywiołów miejscowych od prawa kupna ziemi na mocy ukazu z dnia 10-go grudnia 1865 r. i — w ogromnej ilości napływają do nas: panowie ci nie opuszczą żadnej licytacyi, żadnej sprzedaży, wszędzie zjawiają się tłumnie i wszędzie im się udaje nabywać dobra ziemskie — na handel,“

Posłuchajmy teraz p. Zyg. z gubernii wileńskiej w *Gazecie warszawskiej*:

„W obecnej chwili na naszym horyzoncie agronomicznym coraz czarniejsze zbierają się chmury, grożąc burzą, która zapewne nie przejdzie bez śladu. Zastój w handlu taki, jakiego dawno nie pamiętają. Literalnie kupców niema i nie sprzedać nie można. Ceny zboża z dniem każdym spadają, a zastraszeni rolnicy tembardzie je spieniężyć pragną. Nabywców jednak znaleźć trudno. A tu na gwałt pieniędzy każdy potrzebuje. Niejednemu nieopłacone procenty bankowe zasnąć spokojnie nie dają, a wiadomo, że Bank nie czeka, bo i teraz 56 majątków w samej gub. wileńskiej wystawia na sprzedaż. Kręcą się więc ziemianie nasi jak w ukropie i rady sobie dać nie umieją.“

Więc... rozszerzyć kredyt? A oto rozszerzono w gubernii mińskiej — objaśnia nas w tej mierze p. *** w *Gazecie warszawskiej*:

„W ostatnim 1883 r. zastawiono przeszło dwa razy tyle ziemi, ile w poprzedzającem pięcioleciu! A ileż majątków oprócz tego, zastawiono w Banku moskiewskim!... Pożyczka taka, chociaż niejednego tonącego za uszy, jak mówią, wyciąga i tworzy dla niego deskę ratunku, w rezultacie jednak często później dotkliwie uczuć się daje, gdy nadejdzie opłata raty procentowej. Dla ocalenia majątków od licytacyi, niejeden wpada w ręce lichwiarzy i tak się w interesy wplącze, że wybrnąć nie może. Oto i w tym roku za nieopłacenie w terminie procentów, czterdzieści kilka majątków w gub. mińskiej Bank wileński wystawia na sprzedaż. A tu niskie ceny zboża, stagnacya handlowa, ogólny zastój w interesach, wszelkie spieniężenia niemożliwemi na razie czyni.“

Nie lepiej nad Wisłą. P. H. W. z tych okolic tak twierdzi:

„Zwiększona pożyczka Tow. kred. ziem., o ile dopomaga do zaspokojenia pożyczek, wymagalnych lub na duży procent danych, przyniesie wprawdzie pewną pomoc rolnictwu, ale ruinie rolników nie zapobiegnie, jeżeli obok niej radykalniejszej ulgi ono nie dozna. Taka pożyczka odwlecze może krytyczną chwilę. ale, jak każdy półśrodek, większe zamieszanie stosunków ostatecznie sprowadzić musi.“

Ze wszystkich środków, zalecanych dla uniknięcia klęski, najenergiczniej postępują przedstawiciele „czoła narodu,“ którzy jak jak p. P. — jeden z największych magnatów powiatu rzeczyckiego sprzedają majątki i dają pokój wszelkiemu „ratowaniu.“ Korespondent *Gazety polskiej* powiada, że „fakt ten przygniatająco oddziałał na inteligentniejsze społeczeństwo nasze.“ Że też jeszcze nie wygaśli u nas demokraci. którzy ciągle spodziewają się obywatelskich poświęceń, ofiar, bohaterstw od „największych magnatów“ naszych! Zawody w tych złudzeniach są doprawdy dziecinne. Ludziskom upstrzyło się w głowie, że ryby powinny siedzieć nad brzegami rzek i ratować tonących; skarżą się więc na nie, że w wodzie pływają. Kiedy tego wymaga ich natura— szanowni elegiści—utrzymują one, że w wodzie utonąć nie można a pływać wygodnie. Ów p. P. zrobił to, co jego gatunek społeczny zwykle robi.

Ale wracajmy do rzeczy. Widzimy, że nasze ziemiaństwo zapada coraz głębiej w grunt grząski, z którego niema wyjścia. Nie pierwszy i nie ostatni raz konieczność uczy tego i tych, czego i których nie mogły przekonać żadne teorye. Wielu naszym domorosłym socyologom, którzy od artykułów *Prawdy* w tym przedmiocie dostawali żółtaczki, podoba się już nietylko balsam gojący wszystkie rany rolnicze — tani kredyt, ale także parcelacya i rozmaite gałęzie przemysłu. Szlachta nasza umie grzeszyć, ale przed zgubą zdobywa się na skruchę. Brnąc dziś w kłopotach, widzi fałsz rozpowszechnionego śród niej mniemania, że „gospodarzyć każdy d.... potrafi“ (*Gaz. w.*), przyznaje, że jej „zawsze sprawiały wstręt wielkie kalkulacye“ (*Kur. w.*), że za długo rządziła się „nieoględnością,“ że lasy należało oszczędzać i drogi

ulepszać, a niedługo może przyjdzie do wniosku, że uprawa chmielu i cykoryi nie hańbi „dobrze urodzonego.“ Lasy! lasy wycięte! — ile za wami teraz westchnień ziemiańskich biegnie! Śpiewa o nich niejeden obywatel tak, jak Mickiewicz o Litwie: „Ile was trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto was stracił.“ A tracić umieliśmy, jeżeli — jak powiada korespondent *Kuryera warsz.* — „dwa tartaki parowe w Baranowie (nad Wieprzem) tarły rocznie 80,000 kloców.“

Również za cenę smutnego doświadczenia zdobyliśmy tę późną mądrość, że dobra droga boczna, to nietylko przyjemność i wygoda, ale także warunek taniej produkcyi. Słusznie też mówi korespondent *Gazety warszawskiej* z Włocławka:

„Nie tyle może amerykańska lub indyjska pszenica, ile brak odpowiednich środków komunikacyjnych tamuje rozwój rolnictwa i pozostanie na długo skałą, o którą rozbijać się będą najpiękniejsze projekty, jakie w ostatnim czasie były u nas na porządku dziennym. Cukrownie, gorzelnie, mączkarnie, tworzenie spółek nabiałowych dla produkcyi serów i wywozu masła udać się nie mogą, jeżeli koszta przewozu surowych produktów pożerają cały czysty zysk.“

Tenże korespondent budzi nadzieję, że ziemianie nasi, przyparci biedą do muru, może nawet zaczną uprawiać... cykoryę.

Produkt ten ma u nas swoją stolicę we Włocławku, skąd rozchodzi się po całem Królestwie i sięga do Cesarstwa. Wyrabia go głównie fabryka założona przez Bohma, która, dla zasłonięcia się przeciw skutkom niebezpiecznego współzawodnictwa z żydami, utrzymuje starozakonnego kontrolora, czuwającego nad „czystością“ roboty. Otóż fabryki włocławskie — mówi wspomniany korespondent — „cały zapas surowej cykoryi, wobec najpiękniejszej ziemi kujawskiej, sprowadzać zmuszone są Wisłą lub koleją z Belgii lub Saksonii, dlatego, że nasi rolnicy hodować korzeni cykoryi nie chcą lub nie umieją.“ Dodać trzeba, że fabryki (do których przybywa jeszcze jedna) zużywają rocznie około miliona suchych korzeni. „Jedyną przeszkodą, dla której nasi rolnicy pozwalają sobie zabierać tak znaczne źródło dochodu zagranicy, jest to, że żaden z producentów zdobyć się nie może na pobudowanie suszarni, która kosztuje 10 — 20,000 rubli, a bez której cykorya ususzyć, ani daleko przewozić się nie daje.“

Farsa! My więcej tracimy przy zielonych stolikach, ruletach, wannach baletnic! Nie chce nam się — i koniec! Gdzie znowu — my i cykorya — my! Boże mój!

Powoli, powoli, a nauczymy się wielu innych jeszcze rzeczy, o których nasi przodkowie nie śnili.

Jakto rozbojów, pożarów nie było? — pytasz zdziwiony czytelniku. Ależ były, były, tylko kto tam dziś już takimi zwykłymi wypadkami się zajmuje. Opis zabójstwa, kradzieży, podpalenia — jest już po prostu komunałem. Gdy kto donosi: około Kartuskiej-Berezy zbóje napadli na dom leśniczego; lub: w Łodzi w ciągu ośmiu dni zdarzyło się tylko siedem pożarów — wiadomość ta byłaby równie banalną, jak np. codzień niemal zapisywany w *Kuryerach* wypadek, że ktoś został obrabowany w wagonie kolei, zasnąwszy po wypaleniu, jakiegoś „mocnego cygara,“ którem go uczęstował współpodróżny. Zdarzyło się to już tysiąc razy, zdarzy się jeszcze drugi tysiąc, bo dziwnie głupi byliby złodzieje, gdyby nie częstowali cygarami każdego, kto je przyjmuje, ma pieniądze i czytuje w *Kuryerach*, że w ten sposób bywa się okradanym.

A. C.

Kraków. Podczas nabożeństwa młodzież uniwersytetu zaśpiewała pewien hymn. Zgorszony tem p. Paweł Popiel udzielił jej napomnienie: „Dzięciołki, obejdziemy się bez waszej muzyki.“ Oburzeni studenci udali się w liczbie kilkuset przed dom jego z okrzykami: „Pereat Popiel!“ Policya zaaresztowała kilku z nich. Sprawa weszła na drogę sądową; tymczasem p. Popiel odbiera swoje napomnienie ze zwykłymi w takich razach procentami.

Z Łęczyckiego donoszą *Wiekowi*, że w gminie Poddębice postanowiono, ażeby w razie pogorzeli każdy włościanin dawał na poszkodowanych kwartę żyta z morga. Ofiara ta wynosiłaby ogółem około 232 rs. Uchwała ludzka i rozstropna.

Słuck. *Praw. Wiest.* zaprzecza podanej przez gazetę *Zaria* a powtórzonej przez inne pisma wiadomości, jakoby tu w r. 1883 istniało biuro powinności wojskowej, złożone z oszustów. Wiadomość ta jest wierutnem zmyśleniem.

Lipowiec. Tutejszy sędzia pokoju, rozpatrując sprawę włościanki, oskarżonej o kradzież wydał wyrok następujący: „Jakkolwiek ani zeznania świadków, ani wyjaśnienia samej podsądnej nie stwierdziły danych, na którychby oskarżenie oprzeć można, atoli ze względu na to, że podsądna nie jest przystojną i ponieważ wszystkie kobiety tej kategoryi usiłują, jak mogą najwcześniej, wyjść za mąż, wnioskuję, że dopuściła się kradzieży w celu wyjścia za mąż za skradzione pieniądze i dlatego postanowiłem poddać ją zamknięciu w więzieniu na pięć miesięcy.“

Skazana od wyroku zaapelowała

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 11 grudnia.

Najbardziej pocić się musi w Berlinie przedstawiciel Anglii w konferencyi afrykańskiej; wszyscy bowiem jej członkowie chcą mu obciąć poły, a on nietylko pragnie, ale musi w całości je zachować. Głównie zaś John Bull czułym jest na Niger. Kongiem — kiedy inaczej być nie może, a nie może—postanowił podzielić się z innemi mocarstwami, ale zwierzchnictwo nad Nigrem chce ocalić i prawdopodobnie ocali. Rok bieżący jest rzeczywiście pamiętną i smutną datą w dziejach narodu angielskiego. Dotąd tajemnie lub jawnie, zdobywał on ziemie w czterech częściach świata bez współzawodnictwa i przeszkody, otwierał nowe drogi dla swego handlu, obdzierał dzikie plemiona ze wszystkich skór, jakie posiadały, gospodarzył śród nich swobodnie i napychał sobie kieszenie. Skubały z nim drobne korzyści i inne państwa, ale dopiero w r. 1884 postanowiły one ograniczyć go i w przyszłych zdobyczach przyjąć udział.

Postępy Rosyi w Azyi, wyprawa francuska do Chin, konferencya afrykańska, roboty Stanleya — wszystko to są zamachy na Anglię, która ich odeprzeć nie zdoła. Najenergiczniej broni ona swych praw do Egiptu, gdzie jej Europa najmniej drogę zagradza. Wolseley posuwa się ciągle— a Gordon żyje. Doprawdy — żyje, mimo że Porta nie przestaje odbierać listów, donoszących o jego śmierci. Krążą pogłoski, że mahdi oświadczył gotowość porozumienia się z Wolseleyem. Z drugiej zaś strony słychać, że Osman Digma przeciął wszelki przystęp do miasta. Ciągle nowe plemiona z nim się łączą. Opanował wszystkie zboża dokoła Tokaru, stojące obecnie na pniu. Jest on dostatecznie w ten sposób zaopatrzony w żywność do przyszłego lata. Krajowcy oburzeni są na anglików z powodu ich bezczynności. Powstańcy ostrzeliwają ciągle Suakim i nową redutę.

W domu za to sprawy idą gładko. Izba lordów zgodziła się na przyjęcie bilu wyborczego z pewnemi zmianami.

Ks. Bismark nie przestaje kłócić się z sejmom, zabierając często głos i wylewając bezładnie wszystką żółć, jaka mu się przy różnych sposobnościach zbierze. Mówi on o wszystkiem, klasyfikuje ciągle posłów na przyjaciół i nieprzyjaciół państwa, łaje, gniewa się, szydzi. Dotąd jednak mało ma powodzenia w swych przedsięwzięciach. Zażądał podwyższenia pensyi dla urzędników swej kancelaryi, a pomimo że poparła go cała rodzina (jeden syn — a dawniej drugi i zięć) — odesłano projekt do komisyi. Naturalnie jeszcze raz kanclerz zapewnił, że nie panowałby nad Niemcami i całą Europą ani chwili, gdyby mu cesarz nie kazał.

Minister Dunajewski, wykazawszy na rok przyszły znaczną obniżkę deficytu w budżecie, podobał się we wszystkiem i utrwalił swoje stanowisko a z niem i stanowisko gabinetu Taaffego. Austrya jednak bardziej obecnie zajmuje się manewrem p. Riegera, który już zbyt schował się w lisią skórę i o którym pomówimy w numerze następnym.

Niedawno wzburzyli się studenci w Madrycie; teraz znowu dali widowisko wiedeńscy z powodu, że do ich Towarzystwa wzajemnej pomocy wybrano dwu żydów. Bijatyka stąd powstała rzetelna, nawet krwawa,

Ferry znowu zwyciężył, skoro zagroził Izbie swoją dymisyą, gdyby przyjęła wniosek Floqueta, żądający wybierania senatorów przez głosowanie powszechne, poddano się jego woli. Dożywotni „regulatorowie zapędów“ znowu odetchnęli.

Sofia. Trybunał wojenny skazał kapitana Elenowa, który od czasów ostatniej wojny turecko-rosyjskiej zajmował posadę naczelnika sekcyi ekonomicznej w bulgarskiem ministeryum wojny, za rozliczne przeniewierstwa na zwrot 10,000 rs. i 80,000 fr., tudzież na wydalenie z Bulgaryi, pod warunkiem nieukazywania się w niej nigdy.

Petersburg. Uroczystość 21-letniej pamiątki wprowadzenia nowych ustaw sądowych przybrała bardzo poważny charakter. Minister sprawiedliwości odebrał niezliczoną ilość depesz.

CUDZE GŁOSY.

Tempora mutantur. Notując niedawno pojawienie się *Izraelity*, polskiego organu stowarzyszenia żydowskiego *Szomer Israel* we Lwowie, nadmieniliśmy, że towarzystwo to zajmowało zawsze wrogie stanowisko względem polaków galicyjskich. Jaka zmiana zaszła w przekonaniach, czy zapatrywaniach, b. najgorętszych zwolenników centralizmu w Austryi, świadczy najlepiej odpowiedź, udzielona dr. Blochowi, rabinowi we Florisdorfie pod Wiedniem, a posłowi kołomyjskiemu do Rady państwa, który w piśmie swojem, wydawanem w Wiedniu p. t. *Oesterreichische Wochenschrift*, głosi hasło: trzymać zawsze z rządem, z *każdym* rządem. Niemiecki organ wspomnianego towarzystwa, *Der Israelit*, odpowiada p. Blochowi tak:

„Czyż mamy istotnie tak nisko upaść politycznie, ażebyśmy z każdym rządem szli, ponieważ ma władzę w ręku? Cóż się wtedy stanie z przekonaniem i charakterem? Czyż nie jesteśmy częściami ludów, wśród których żyjemy, czyż nie powinniśmy się z nimi zjednoczyć politycznie i czy nie w tem leży najlepsza rękojmia naszego bezpieczeństwa? Czyż mamy i z takimi rządami iść razem, które są biczem dla swych ludów? Nie! Tę polityczną bezduszność — serwilizm ten odtrącamy od siebie.“

Organ *Szomer Israela* odtrąca następnie projekt założenia centralnego stowarzyszenia politycznego wszystkich żydów austryackich,

„— bo i jakiż byłby jego program? Jakiż jednolity kierunek polityczny może mieć stowarzyszenie, do którego należelibyśmy niemieccy żydzi z Wiednia, włoscy żydzi Tryestu, czescy Pragi, polscy Krakowa i Lwowa? Prawda, że jeżeli się, jako polityczny program, przyjmie bezwarunkową uległość wszystkich żydów wobec każdego rządu, wtedy i takie stowarzyszenie mogłoby mieć swój sztandar.“

Zbyt nagły to przewrót, aby orędzie *Straży Izraela* można było czytać bez pewnego niedowierzania. W każdym razie— dziwnie się plecie na tym świecie... Czy tylko zmiana rządu centralistycznego na sprzyjający autonomii krajów pojedynczych nie wpłynęła cośkolwiek, bodaj cośkolwiek, na zwinięcie starego sztandaru i wypisanie na jego pokrowcu „politycznej bezduszności?..“ Niech zaś nikogo nie dziwi, jeżeli chorąży pyta nowo-zaciągającego się towarzysza: ktoś zacz i *skąd* przychodzisz? Gdyby *nowe* pismo głosiło takie zasady, nie dziwilibyśmy się wcale, wyczytując je w starem, o przeciwnym niegdyś kierunku — nie dowierzamy.

Anathema sit. Dzisiaj?. Tak jest. Odbywały się niedawno wybory w Poznaniu do rady miejskiej. Zupełnie legalny komitet przedwyborczy miejski zwołał, jak zwykle, walne zebranie wyborców polskich, na którem uchwalono między innemi także kandydaturę dr. Jarnatowskiego. Na drugi dzień *Kuryer poznański*, który wspólnie z innemi pismami najróżniejszych przekonań potępił owego czasu warcholstwo *Gońca wielkopolskiego*, występuje namiętnie przeciwko wymienionemu kandydatowi, dlatego jedynie, że jest kalwinem z chrztu, a bezwyznaniowcem z zasady.

„Zniewoleni jesteśmy—twierdzi b. zwolennik solidarności—z imienia katolików i polaków (??) zanieść uroczysty protest przeciw pogwałceniu (?) sumienia katolickiego (no a polskiego nie?), jakiego się dopuszcza Komitet, wzywając wyborców bez osobnej deklaracyi (tego nigdy nie bywało!) do głosowania na obywatela, który jest najczyszstej wody bezwyznaniowcem...“

Aby mu nie zrobiono zarzutu zrywania solidarności, *Kuryer* kręci po jezuicku o kilka zaledwie wierszy dalej:

„*Nie wolno nikomu robić secesyi*, nie wolno głosować na innego kandydata. Zabrania nam tego solidarność, obowiązująca nas polaków.“

Myśli ktoś może, że to jest nawoływanie do zgodnego głosowania na dr. Jarnatowskiego? Eh, nic! *Kuryer* cytuje w dalszym ciągu ustęp z „Hygieny“ nieszczęśliwego ateusza i dowodzi:

„Sądzimy, że na człowieka takich przekonań, jak powyższe, żaden ksiądz, *żaden katolik* bez naruszenia sumienia *głosu oddać nie może* i że nikogo przeciw solidarności posądzić nie będzie można, kto warując sobie prawo wolności sumienia wstrzyma się od głosowania na takiego kandydata.“

Kto z dwu przytoczonych powyżej, a podkreślonych zdaniach nie dopatrzył sprzeczności, znalazł bezwątpienia przewrotność, w obu zaś wypadkach — *zbrodnię* zrywania solidarności narodowej. Nazywamy to zbrodnią tem śmielej, że „bezwyznaniowcy i tym podobni“ głosują zawsze i wszędzie na katolików, gdziekolwiek tego wymaga sprawa narodowa. *Kuryer* jednak nie potrzebnie protestował w imieniu katolików i polaków, bo katolicy i polacy poznańscy wybrali — dr. Jarnatowskiego. Świadczy to, że ktoś od kogoś jest... dojrzalszym.

Czesi i węgrzy. Zaledwie umilkły echa tryumfalnego przejazdu przez Czechy i Morawę sędziwego autora pieśni *Hej, slovane!*— pastora słowackiego, Samuela Tomaszika, aliści z obozu staroczeskiego ozwał się głos, o ile wysoce polityczny, o tyle przykrym dysonansem rażący ucho każdego z fizycznych, czy duchowych uczestników niedawno odbytej biesiady jubileuszu odrodzenia. Głos ten wyszedł z ust człowieka, którego lat kilkanaście wstecz widzieliśmy, jako gorliwego pątnika, na „wystawkę“ etnograficzną zdążającego. Dziś zapędza on się w kierunku wręcz przeciwnym — do Pesztu.

Mamy na myśli najświeższą mowę dr. Władysława Riegera, którą wygłosił niedawno w Pradze. Gdyby ona wyszła z ust polaka, nikt nie zwróciłby na nią uwagi— w ustach czeskich brzmi ona tak dziwnie, że telegraf rozniósł ją czemprędzej na wszystkie strony świata. Wódz staroczechów i kierownik politycznej nawy czeskiej rozpoczął od tego stereotypowego frazesu:

„Spojeni jesteśmy z narodem węgierskim w jednej monarchii, a losy nasze pląteły się w wspólny węzeł przedziwnie od mnogich wieków. Byliśmy jakby przeznaczeni dla siebie a powtarzającym się wyborem wspólnych królów ujawniła się ta wzajemność i pokrewność naszych stosunków.“

Dr. Rieger opowiada następnie dzieje polityczne Austryi od r. 1848 po dni dzisiejsze i twierdzi, że czesi stali zawsze na gruncie praw historycznych, dopomogli węgrom do otrzymania ich napowrót i pomimo pokrewieństwa szczepowego z słowakami i innymi słowianami węgierskimi zamknęą oczy na wszystko, co się dzieje po za granicami ziem korony św. Wacława. Mogą więc węgrzy bezpiecznie prowadzić walkę z mohikanami podkarpackimi — czesi nie wstawią się za nimi.

„Mogłoby nam to szkodzić — tłomaczy dr. Rieger. A zatem, panowie, nie pozostaje nam nic innego, jak włożyć ręce w kieszenie i przypatrywać się, jak to dalej pójdzie...“

Chyba za wiele cynizmu w ustach danego panslawisty! Wypowiada on następnie madziarom cały szereg komplimentów, które jednak, jako same tylko przeczenie wad, dziwne czynią wrażenie. „Madziar sam w sobie (?) nie jest ani zdrajcą, ani podstępnym, ani denuncyantem...“ Widocznie gdzieś ktoś coś mówił na ten temat!

Równocześnie prawie z mową Riegera rozbiegła się wieść, że cesarz Franciszek Józef zamierza koronować się uroczyście na króla czeskiego w Pradze... Dodajmyż i to, że przewódca czechów zaznaczył w swojej mowie różnicę pomiędzy panslawizmem politycznym a literackim, aby ugłaskać węgrów, wzburzonych z powodu rozmaitych manifestacyj narodowych. Rozróżnienie to jest słuszne i szkoda także, że dr. R. posługuje się tak niestosownym terminem, jak „panslawizm,“ który w wiadomem nam znaczeniu ani w Czechach ani w Słowaczczyznie niema zwolenników.

Wystąpienie dr. Riegera przyjęto w Węgrzech... bardzo grzecznie, dodano jednak niedwuznacznie, że ani o politycznym, ani literackim panslawizmie nie radzi tam słyszą. Do wystąpienia tego powrócimy jeszcze.

„Na greckiej lirze.“ Korespondent wiedeński *Dziennika poznańskiego* pisze:

„Lubo *Kuryer lwowski* dokłada wszystkich starań, żeby spotwarzać Koło i posłów polskich, z czego oczywiście cała opozycya się raduje, cała jednak ta sprawa, jeżeli może kogo kompromitować, to wyłącznie (? red. *Praw*) organy opozycyi. Więc też pogróżki Schönerera, że sprawy te w Radzie państwa podniesie, byłyby dla prawicy obojętnemi, gdyby nie to przez dzienniki polskie wciąganie do sprawy posłów polskich, to karygodne poniewieranie imienia polskiego, gdyby dalej nie chodziło o zakłócenie parlamentu awanturami wtedy, gdy prawica przezornie wszystkich sił i całego czasu dla obrony stanowiska swojego potrzebuje.“

Szczególne rozumowanie! A toć przecie rzecz jasna, jak słońce, że jeżeli sprawa transwersalna skompromitować może „jedynie organy opozycyi,“ to trwożyć się niema czego i obawiać „zakłócania parlamentu awanturami“—owszem cieszyć się że sprzeczki lewicy i jej prowodyrów w... dą na jaw, dyskredytując centrali... i wyborców. Mniejsza jednak o to. Na zarzut „spotwarzania Koła i posłów polskich,“ „karygodnego poniewierania imienia polskiego“ itp. *Kuryer lwow.* odpowiada tak:

„Autentyczność wypisów protokółowych, przedstawionych na zgromadzeniu wyborców we Lwowie, nie była dotąd zaprzeczaną, choć byliśmy przygotowani na tego rodzaju wybiegi. Dopiero korespondent wiedeński *Dzien. pozn.* i lwowski *Wieku* poważyli się zarzucić protokółom tym sfałszowanie. Na to oświadczamy, że drukowaliśmy to, cośmy otrzymali niepospolitym sprytem i kosztem z zamkniętego i bardzo surowo strzeżonego fascykułu wiedeńskiego. Każdemu wątpiącemu służymy oryginałami odpisów. Konsekwensya zarzutów nam czynionych jest więc taka, że niebaczni panowie korespondenci najwymowniej popierają żądanie nasze i wyborców lwowskich, aby komisyi parlamentarnej przedłożone zostały akta oryginalne, prawdziwe i niesfałszowane. Koło polskie nie chciało tego — dziś chcieć musi, jeśli niema popaść w posądzenie osłaniania korupcyonistów.“

Naszem zdaniem, byłoby najlepiej, aby wszyscy panowie, którzy czują się obrażeni — wytoczyli proces *Kuryerowi lwowskiemu*, który tego tylko pragnie. Podobnie postąpić sobie mogą i z naszym korespondentem z Galicyi, który na wypadek wytoczenia nam skargi w sprawie Schwarz— Länderbank upoważnił nas do wymienienia jego nazwiska i podania adresu, zobowiązując się przeprowadzić dowód prawdy. „Więc co tu dalej gadać!“ — kończymy z *Kuryerem lwowskim*.

PRASA ROSYJSKA.

St. Pet. Wiedomosti zaczynają robić bardzo kwaśną minę na „podbój“ niemiecki w Królestwie polskiem:

„Niemcy nie na żarty postanowili sobie podbić na drodze pokojowej gubernie przywiślańskie, przedewszystkiem pograniczne. Kiedy my rozprawiamy o konieczności polityki narodowej w sprawach finansów i przemysłu, niemcy szybkimi krokami przedostają się od naszej zachodniej granicy, budują sobie całe miasta przemysłowe, skupują ziemię i chwytają w swe ręce najzyskowniejsze przedsiębiorstwa, germanizując całe okolice, wsie i powiaty nieledwie, zwłaszcza od czasu, jak Stany Zjednoczone zamknęły wrota swe dla emigrantów niemieckich. Nie mówiąc już o Łodzi, która sobie jest poprostu państewkiem niemieckiem, w ostatnich czasach poczęli się gnieździć uparcie w okolicach Sosnowic, gdzie wyrosło całe miasto fabryczne, wyłącznie przez nich zamieszkałe. Własność ziemska, tak większa jak średnia i mała, przechodzi coraz częściej do rąk niemieckich, a co gorsza, niemcy zaczynają coraz gorliwiej skupować grunta włościańskie.“

Obliczywszy, że skupili w Królestwie 1835 osad, *P. Wiedomosti* dodają:

„Gdyby objawy podobne zdarzały się na terytoryum niemieckiem, niewątpliwie dawnoby już przedsięwzięto przeciw nim energiczne środki, które od razu położyłyby kres podobnej kolonizacyi. My jednak wstydzimy się i żenujemy—a kolonizacya postępuje, krzewi się. Aby zapobiedz dalszemu napływowi cudzoziemców do gubernii przywiślańskich, potrzeba stanowczo i natychmiast:

a) zabronić przechodzenia gruntów objętych ukazem z roku 1864 na własność cudzoziemców i osób nienależących do składu gminy wiejskiej;

b) zabronić bezwarunkowo posiadaczom gruntów polakom odstępowania ich niemcom, dozwalając to tylko wtedy, jeżeli nabywcy przyjmują poddaństwo rosyjskie.

Czy nie taką samą skargę podnosiły niektóre pisma polskie i zostały za nią złajane tam, gdzie się teraz odzywa?

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nowy kodeks karny jest teraz przedmiotem obrad komisyi sądowo-adwokackiej w Warszawie. Rozpatrują go vice-prezesi Kapher i Timanowskij, sędziowie: Łukomski i Moldenhawer, sędzia śledczy Wydżga, towarzysz prokuratora Ellenbogen i adwokaci: Kamiński, Krajewski i Wierzchlejski.

Zmiany służbowe. Profesor nadzwyczajny uniwersytetu warszawskiego Kryszka pozostawiony na katedrze do 24 sierpnia (5 września) 1885 roku. Zawiadujący drugiem gimnazyum żeńskiem w Warszawie, Nienadkiewicz, mianowany dyrektorem kancelaryi warszawskiego okręgu naukowego. Dyrektor włocławskiej szkoły realnej Stefanowicz uwolniony od tego obowiązku na własną prośbę. Inspektor szkoły realnej w Moskwie Kacausow mianowany dyrektorem warszawskiej szkoły realnej.

O kobiecie przemawiał z katedry p Hankiewicz po francuzku. Dlaczego po francuzku? Czy prelegent nie zna polskiego języka? W ciągu godziny trudno opowiedzieć historyę losów kobiety i powtórzyć bodaj cząstkę tego gwaru, złożonego z mniemań, dowcipów, sarkazmów, pochlebstw, jaki brzmi dotąd. To też pan H. tonął w chaosie przeróżnych zdań i kwestyj. W tym labiryncie ukazała się wreszcie nić przewodnia prelegenta, który rzucił swój głos za usamowolnieniem i oswobodzeniem kobiety. Wtedy najbardziej żałowaliśmy, że wykład odbywa się po francusku.

Prasa rosyjska. Od n. roku ma wychodzić *Głos Moskwy* pod redakcyą p. W. Wasiliewa, który — jak donosi—„miał zaszczyt być współpracownikiem *Mosk. Wiedomosti.*"

Pensye dostojników niemieckich są rzeczywiście dziwnie małe. Ks. Bismark pobiera ogółem 72,000 marek i mieszkąnie; podsekretarz stanu Hatzfeld 50,000 m.; minister wojny 36,000 m. Moltke, naczelnik głównego sztabu, 12,000, 18,000 dopłaty służbowej, mieszkanie i obrok na 6 koni. Z ambasadorów najwięcej otrzymują petersburski i londyński — po 150,000 m.

Kurs rubla, podbijany w zeszłym tygodniu, zaczyna mocno spadać; różnica wynosi kilka marek na 100.

Skarb — ciągle skarb! znaleźli robotnicy na polach Grochowskich i ukryli. Wezwano na pomoc p. Cumberlanda; ale ten, chociaż dużo biegał z podejrzanym robotnikiem, tajemnicy z niego wydobyć nie mógł.

Instytut górniczy — według *Dniew. warsz.* — ma powstać w Warszawie. Przemysłowcy tutejsi złożyli już podobno na ten cel 40,000 rs. W zasadzie projekt już zatwierdzony.

Cholera — dzięki przezorności czcigodnego prof. Chałubińskiego — nie znikła z pamięci sanitarnych władz Warszawy, chociaż znikła w... Paryżu. W wypadku pojawienia się zarazy miasto ma być podzielone na 161 oddziałów pod opieką wyznaczonych lekarzy, pobierających dziennie rs. 5. Nadto będzie otworzonych 9 stacyj ratunkowych. Rozwinięciem i wprowadzeniem tego planu zajmowało się na osobnem posiedzeniu Towarzystwo lekarskie.

Wielogłów. Z powodu podniesionej w wyższych sferach sprawy łączenia wielu urzędów w jednej osobie, *Nowosti* podają następującą litanię godności niejakiego p. Percowa. Jest on: 1) marszałkiem powiatowym szlachty; 2) prezesem kazańskiego gubernialnego wydziału ziemskiego; 3) zarządzającym szpitalami; 4) prezesem zgromadzenia ziemskiego powiatowego; 5) prezesem opieki szlacheckiej; 6) prezesem biura poboru wojskowego; 7) prezesem powiatowego urzędu do spraw włościańskich; 8) prezesem rady szkolnej; 9) zastępcą gubernialnego marszałka szlachty; 10) członkiem urzędu (prysutstwia) gubernialnego do spraw miejskich; 11) członkiem urzędu gubernialnego do spraw włościańskich; 12) członkiem komitetu więziennego; 13) członkiem gubernialnej rady szkolnej; 14) członkiem opieki instytutu Rodionowa; 15) członkiem opieki Instytutu Nauczycielskiego; 16) opiekunem domu aresztantów; 17) honorowym sędzią pokoju; 18) prezesem klubu szachowego; 19) dyrektorem Towarzystwa Wzajemnego Kredytu; 20) członkiem Towarzystwa „Czerwonego Krzyża;" 21) członkiem Towarzystwa ratunku tonących; 22) członkiem Bractwa Św. Guria; 23) członkiem Towarzystwa Dobroczynności; 24) członkiem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Razem w jednym człowieku mieści się: siedmiu prezesów, ośmiu członków, jeden sędzia, jeden marszałek, jeden dyrektor i sześciu opiekunów!"

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. Kulebakskie Górnictwo. Żądane zeszyty Brandesa wysłaliśmy; należy nam się kop. 50.

P. K. S. w Rydze. Wyślemy od 1 stycznia do Kasperówki.

P. K. w Przenicznikach. Tom Brandesa wysłaliśmy; należy nam sie rs. 2.

OFIARY.

Dla studentek polek w Petersburgu. Xy z Plocka rs. 8 Mieczysław N. rs. 2

Do dzisiejszego numeru dołączają się prospekty: **Kuryera Codziennego i Tygodnika Powszechnego.**

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Ноября 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.